MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 15 WARSZAWA, 11 KWIETNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

NIEDOMÓWIENIA

PRZEZ szereg miesięcy 1933 r. omawialiśmy na zebraniach seminarium pedagogicznego Uniwersytetu Poznańskiego zagadnienie wychowania państwowego. Uczestnicy rozstrząsali tak ogólne zasady, jak i szczegółowe wytyczne. Wiele rzeczy w ciągu dyskusji wyjaśniono i zgodnie ustalono. Oczywiście nikt nie występował przeciw zasadzie, różnice dotyczyły jedynie ujmowania szczegółów, oraz realizacji w praktyce. Gruntowna dyskusja i ścisłe sformułowanie pojęć pozwoliły na wyjaśnienie i ustalenie wielu rzeczy, a tem samem wyrównały szereg różnic, pozornie nawet zasadniczych. Wiele zasad przedstawiło się nam zupełnie jasno tak, że z łatwością ustaliliśmy je w naszem gronie, inne jednak pozostały dalej pod znakiem zapytania. Wiele bowiem zasadniczych pojęć nie zostało dotychczas ściśle określonych, co powoduje zamęt w myśli, a w praktyce nieporozumienia, przykrości, a nawet wprost szkody. Jasne zatem określenie tych pojęć jest konieczne, usunie bowiem chaos wywołany niewiedzą lub swobodną interpretacją.

Słusznie powiedział w swym artykule p. naczelnik Gałecki: „W szkole nie może być niedomówień, pozostawionych bez odpowiedzi znaków zapytania, wielemówiących albo nic nie mówiących domyślników... w żadnej dziedzinie, a w dziedzinie zagadnień państwowych w szczególności". [1]). Chcę więc właśnie zestawić te zasadnicze wątpliwości i luki, w nadziei, iż autorytatywny głos zechce je rozwiązać, albo orzec, że zostawia swobodę sądu i pracy w danej dziedzinie.

[1]) W. Gałecki: Wychowanie państwowe. (Oświata i Wychowanie, 1931).

Więc przede wszystkiem mówi się o Państwie, ale dokładnie nie sprecyzowano, jakie to ma być państwo nie tylko z imienia, lecz treści. Polskie, czy polsko-litewsko-ruskie, czy może polsko-litewsko-ukraińsko-białorusko-niemiecko-czesko-żydowskie? Jeśli pierwsza koncepcja, to jaki ideał: dążenie do jednolitości jaknajwiększej pod każdym względem, czy pewnej tylko supremacji, a w takim razie jak daleko posuniętej? W wypadku drugim lub trzecim, czy ma to być jedno państwo, czy kilka sfederowanych i w jakim stopniu? A jeśli federacja, to jaka? Czy zamknięta np. przedrozbiorową przeszłością historyczną, czy dążąca do ekspansji, aż do Zjednoczonych Stanów Słowiańszczyzny, Europy, nawet całej ziemi?. Przecie od odpowiedzi na to pytanie zależy cała budowa Państwa, więc i cała dla niego praca wychowawcza.

Czy w tem państwie złożonem ma być jakaś jedna kultura dominująca, jakiś jeden język obowiązkowy dla wszystkich, jak w Związku Sowieckim rosyjszczyzna? Jeśli tak, nie można mówić o bezwzględnej równości; — jeśli nie: niema wtedy jednego państwa, lecz związek państw czy sojusz, nawet nie unia realna. A wtedy nawet taka rzecz, jak porządek nazw poszczególnych narodowości czy państw związkowych, nie jest bez znaczenia: czy porządkować wedle alfabetu, czy liczebności, czy dorobku kulturalnego? Często cytowany wzór idylicznej Szwajcarii zawodzi, gdyż tam liczebność językowa godzi się szczęśliwym zbiegiem okoliczności z alfabetem.

Czy dla Państwa naszego jest obojętne, czy w nim jest więcej czy mniej tego czy innego ży-

wiołu; polskiego a mniejszościowego, tubylczego a napływowego, z dawna osiadłego i przybyłego? Czy zwartość Państwa nie wzmaga jego mocarstwowości, a czy u nas nie stanie się ono zwartszem w razie wzrostu i wzmocnienia żywiołu rzeczywiście polskiego? Zdaje się, że zwłaszcza ważne jest rozwiązanie tego zagadnienia na wypadek jakichkolwiek konfliktów przede wszystkiem z mocarstwami ościennemi.

A czy granice Państwa są obojętne? czy obojętne te, czy tamte ziemie? Aktualne ataki zachodnich sąsiadów na nasze Pomorze i rozmaite propozycje zmian terytorialnych nie mogą być przecie przemilczane, jak więc wobec nich nastawić młodzież? Przecie Polakowi nie wolno frymarczyć tą ziemią, czy jednak równie cenny jest ten obszar np. dla Rusina lub Żyda? Czy będą oni w razie konfliktu z Niemcami z równem oddaniem i poświęceniem bronić naszego Bałtyku, gdy zostawią im nadzieję np. na Odessę lub nawet Kłajpedę? A czyż dla Państwa naszego to obojętne?

Inna rzecz. Mówi się o tolerancji w państwie, zawierającem, jak nasze, poważny odsetek mniejszości narodowościowych i wyznaniowych. Należałoby jednak dokładniej określić różnicę między tolerancją a indyferentyzmem. Gdzie kończy się tolerancja, a zaczyna indyferentyzm. Czy ten ostatni da się pogodzić z pojęciem państwa nawet „narodowościowego", czy przeciwnie raczej jest niebezpieczny, może groźny? Bo jeśli dla Polaka „tradycja polska, duch polski, mowa polska" nie będzie czemś najlepszem i najcenniejszem, „jedynie godnem miłości i chwały", lecz wyrazem „etnicznego patriotyzmu", czy „zoologicznego nacjonalizmu", to dlaczego nie miałby się on wynarodowić, jeśliby mu interes osobisty to wskazywał? Dlaczegoż w takim razie rząd opiekowałby się naszą emigracją, dlaczego nie zapomina o Polakach w innych państwach, co przecie nie obywa się bez zgrzytów? Jakaś tu niejasność, jeśli nie sprzeczność, którą koniecznie trzeba wyświetlić.

Znowu inna rzecz to asymilacja kulturalna językowa, narodowa. Czy jest dopuszczalna, nawet pożądana, czy przeciwnie może karygodna? Czego u nas wymaga dobro Państwa i o ile odpowiada temu ustrój i polityka szkolna? Pytanie drażliwe, niemniej zasadnicze [2]).

A jak traktować separatyzm narodowościowy i separatystów? Pytanie tembardziej u nas aktualne, że z jednej strony prowadzi się bardzo ostrą kampanię wewnątrz własnego społeczeństwa przeciw „nacjonalizmowi", propaguje nierzadko hasła „rozbrojenia moralnego", z drugiej, jak to jeszcze H. Sienkiewicz zauważył, nasz „antynacjonalizm jest tem ciekawy, że uznaje wszystkie nacjonalizmy z wyjątkiem polskiego".

Znów co innego. Wszak ze stanowiska wychowawczego chyba nie jest obojętny ustrój państwa, jego organizacja, wytyczne życia zbiorowego, etyka społeczna. Czyż tak samo można wychowywać w rzeczypospolitej, jak w monarchji, w państwie demokratycznem, oligarchicznem, arystokratycznem („elita społeczna"), czy absolutnem? Przecie to, co w jednym typie jest zaletą, w drugim może być uznane za zbrodnię.

A wreszcie: czy Państwo i Rząd to są rzeczy równowartościowe, identyczne? Czy ktoś, kto jest przeciwnikiem danego rządu, nawet go zwalcza, jest już tem samem „antypaństwowcem"? A tak samo w odniesieniu do panującego systemu rządów, ustroju. Przecie nieraz ludzie stojący u steru stwierdzają potrzebę zmian, reform, sanacji. „Nie może być w państwie — gdy nie chce ono iść ku zgubie — zadużo nieprawości": [3]) cóż począć, gdy się je widzi? Czy ustawom, nawet zarządzeniom, należy się poddawać nawet bez słowa krytyki, gdy się je uważa za złe, niesprawiedliwe? Któż ma prawo oceny i zmiany, czy tylko ci, co są u steru? A czyż oni są wszechwiedzący, czy nie bywają omylni? Czy społeczeństwo może być przedmiotem krytyki rządu, a odwrotnie nie? A specjalnie w jakiem świetle stanie wychowawca, jeśli będzie bezkrytycznie adorował wszystkie zarządzenia władz, w razie zmiany rządu, systemu, a choćby tylko kierunku lub przepisów? Nie chcę mówić o takich przewrotach, jak rewolucja w Hiszpanii, ale choćby u nas przed i po zawarciu paktu o nieagresji z Rosją; czy ma się zmieniać nastawienie nauczyciela i przedstawiać z tą chwilą inaczej naszego wschodniego sąsiada? Jakaż będzie powaga nauczyciela, jaki wpływ na wychowanków, którzy zależnie od „wiatru z góry" będą może w przeciągu paru tygodni słyszeli sprzeczne poglądy i oceny? Czy wyrobi to w nich charaktery, czy raczej oportunizm, może wygodny na bieżącą chwilę, ale deprawujący duszę i wiodący nieodwołalnie do zguby? Czyż rzeczywiście szkoła ma żyć tylko dniem dzisiejszym, być tylko, jak się wyraził p. Janusz Jędrzejewicz [4]), „funkcją życia, a nie prekursorem życia"? Czyż szkoła nie ma myśleć o „jutrze", tem jutrze, które będzie należeć nie do nas, lecz do naszych wychowanków i następców? A jakże było z Konarskim, Czackim, Czartoryskim, Kołłątajem, którymi się

---

[2]) Już po napisaniu tych myśli pojawił się w „Zrębie" artykuł p. J. Ostrowskiego p. t. „Kontury idei państwowej", który daje odpowiedź na to pytanie całkiem jasno. Czytamy tam: „Spoistość ta (państwowa) da się osiągnąć jedynie przez „asymilację państwową"... Kultura polska, jeżeli wierzymy w jej wartość, jest nie tylko narodowym dobrem i mamy obowiązek jej propagandy i asymilowania dla niej obcych elementów..."

To jasne postawienie sprawy, które nie spotkało się z żadnem zastrzeżeniem ze strony redakcji, powinno w konsekwencji wyrównać szereg innych nieporozumień między t. zw. państwowcami a narodowcami, jak to się zresztą stało na naszem seminarium.

[3]) Józef Piłsudski: Oświadczenie do prasy 1926 r.

[4]) Janusz Jędrzejewicz: Wychowanie Państwowe. (Zrąb I. 1930).

chlubimy w dziejach naszego szkolnictwa, a choćby ostatnio z tymi, co robili strajk szkolny w Królestwie, — czy oni nie myśleli i nie budowali przyszłości? Chyba i tu jakieś smutne nieporozumienie.

Zestawione tu zagadnienia mają, mojem zdaniem, charakter zasadniczy. Należy je określić jasno i niedwuznacznie i rzeczowo uzasadnić. Bez tego nie tylko system jest niewykończony, ale co gorsza, niejasny, wskutek czego powstaje cały szereg nieporozumień, konfliktów, tragicznych czasem dla zainteresowanych, niepożądanych dla Państwa.

Oczywiście autorytatywne wytyczenie szczegółowych zasad i rozwiązanie poruszonych wątpliwości należy do decydujących czynników. Mojem zadaniem było zestawienie dziedzin, w których system nie jest dotąd wykończony, a podstawowa idea, niedostatecznie rozwinięta, domaga się wyraźnej odpowiedzi.

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

DRAMAT HISZPAŃSKI.

CZASY ALFONSA XIII

I

W maju 1902 roku Alfons XIII, skończywszy lat szesnaście, zaczął wykonywać to, co jego przodek, Ludwik XIV, nazywał „rzemiosłem królewskim". Było to w kilka lat po utracie resztki imperium amerykańskiego dzięki zdradzieckiej zasadzce yankesów, którzy naprzód opłacali hojnie bunty na Kubie, a wreszcie sprowokowali swoją „interwencję", wysadzając w powietrze swój krążownik stojący w porcie Hawany. Republikanie hiszpańscy, założyciele krótkotrwałej republiki z r. 1873, i ich uczniowie ożyli dzięki klęsce kolonialnej; ich wódz, niegdyś prezydent republiki, Castelar, który w r. 1888 ogłosił swoją lojalność dla tronu, powrócił do programu republikańskiego i zaczął organizować opozycję antydynastyczną w r. 1899. Intelektualiści, którzy stanowili dotąd nieliczne kadry republikanów zostali w tym samym czasie mocno podparci przez ruch socjalistyczny, starający się przyciągnąć masy; formalny sojusz republikanów i socjalistów został zawarty dopiero w r. 1909 po stłumieniu powstania katalońskiego przez konserwatywny rząd Maury, lecz jako siły antymonarchiczne współdziałali republikanie z socjalistami już od r. 1899. Prócz republikanów i socjalistów przeciw tronowi Alfonsa XIII-go działali katalończycy i karliści. Katalończycy nie byli patriotami hiszpańskimi; „regionalizm" i „autonomizm" pojmowali jako krok do zupełnej niepodległości i ogół katalończyków nie aprobował linii politycznej prawicy katalońskiej, kierowanej przez Camba, godzącego się na utrzymanie jedności hiszpańskiej. Katalończycy zwykle współdziałali z republikanami, korzystającymi z każdej sposobności osłabiającej *régime*, a także z socjalistami i karlistami. Karliści, zwolennicy potomków brata Ferdynanda VII (król Alfons XIII pochodzi w linii żeńskiej od Ferdynanda VII-go, a w linii męskiej od Franciszka, młodszego od don Carlosa brata Ferdynanda VII-go), choć występujący jako tradycjonaliści i legitymiści — łączyli się jednak często z opozycją antymonarchiczną nawet wbrew wskazówkom karlistowskiego pretendenta.

Oprócz republikanów, socjalistów, katalończyków i karlistów w silnej opozycji przeciw prerogatywom Korony potrafili stawać liberałowie nierzadko występujący wspólnie z republikanami. Alfons XIII objął tron w bardzo ciężkiej sytuacji, cięższej niż bywała później. Wyżej wyliczone siły polityczne czyhały na jakąkolwiek okazję aby rzucić się ku zdobywaniu władzy, a okazji dostarczały ciągle wielkie zagadnienia religijne, społeczne, wojskowe, regionalne i kolonialne, których nie pozwalał ani uprościć, ani tembardziej rozwiązać ustrój konstytucyjno-parlamentarny *à l'anglaise*, którym obdarzył Hiszpanię krótkowzroczny, jak się okazało, minister Alfonsa XII i królowej-regentki, Canovas y Castillo. Udało się Canovas'owi stworzyć warunki, w których teoretycznie ustrój parlamentarny funkcjonuje najlepiej: niezależny monarchiczny naczelnik państwa i dwa wielkie stronnictwa delegujące do rządu swoich przedstawicieli w razie posiadania większości w parlamencie. Rzeczywistość uczyniła z parlamentaryzmu hiszpańskiego ustrój, w którym wielkie problemy narodowe ciągle istniały, ciągle rozdrażniały, ale nie można było nic załatwić. Członkowie sztabów partyjnych zazdrościli sobie wzajemnie i partie rozbijały się na koterie osobiste (np. konserwatyści dzielili się naprzód na zwolenników Maury i Villaverde, a potem na stronników tegoż Maury i Data; liberałowie rozbili się na prawicę dowodzoną przez Montero Rios, centrum Moreta, lewicę Canalejasa). Gabinety upadały nie wskutek głosowań w parlamencie, lecz dzięki wydarzeniom zewnętrznym: rozruchom (upadek Maury w r. 1909), zamachom (zamordowanie Canalejasa w r. 1912), lub wskutek intryg kuluarowych (kinematograficzne zmiany gabinetów liberalnych w r. 1906 i 1907); społeczeństwo hiszpańskie mało interesowało się wyborami (czasem w wyborach w Madrycie brało udział tylko 20% uprawnionych) i wygrywał je zawsze ten rząd, który w czasie wyborów był przy władzy. Stwierdzić trzeba, że najbardziej konstruktywny program mieli konserwatyści; wypowiadali się oni za dość szeroką nawet decentralizacją, uprzemysłowieniem kraju, chcieli ochraniać tradycyjne zorganizowane siły narodowe: religię katolicką i armię. Specjalnością liberałów było ciągłe rozdrażnianie opinii publicznej sprawami religijnemi (celowali w tym w pierwszym dziesięcioleciu panowania Alfonsa XIII-go hrabia Romanones i Canalejas), republikanie komplikowali sytuację politycznym dezyderatem dotyczącym formy rządów, socjaliści wnosili ferment walki klasowej, kataloniści przeciwstawiali się całemu państwu, a karliści — dynastii panującej.

Przyznać trzeba, że Alfons XIII w bardzo

trudnej chwili objął dziedzictwo królewskiego warsztatu. Przez dwadzieścia dziewięć lat jego efektywnego panowania (jako syn pogrobowy Alfonsa XII-go był Alfons XIII formalnie królem od urodzenia) zmieniło się 38 rządów („gabinetów", „ekip ministerialnych"), monarcha był przez cały ten czas stałym punktem oparcia dla jedności narodowej i podziwiać trzeba, że wśród niesłychanie zaostrzonych sporów wszelkiego rodzaju przez lat prawie trzydzieści był naczelnikiem państwa z mocy samego prawa, a nie siły czy mody. Panowanie króla Alfonsa XIII można podzielić na trzy okresy, 1-o do r. 1917 rządy partyjno-parlamentarne, 2-o od r. 1917 do końca 1922 rządy junt wojskowych, 3-o siedmiolecie „dyktatorskie"; po ustąpieniu Primo de Rivery nastąpił zwrot do rządów partyjnych, który zakończył się katastrofą. Od r. 1902 to podnosiła się, to upadała fala rewolucyjna. Przez pierwsze siedem lat panowania dużą rolę uspokajającą odgrywała popularność osobista króla i królowej. Używając wyrażenia Mussoliniego monarcha hiszpański „żył niebezpiecznie" od chwili objęcia rządów (Kilkudziesięciu zabitych i rannych w czasie zamachu paryskiego 31 maja 1905 r.; koło trzystu ofiar zamachu madryckiego 31 maja 1906 r.; zamach sztyletowy 13 Kwietnia 1913 r.), ale do czasu rozstrzelania w r. 1909 kierownika terrorystów masona Ferrera nawet opozycja antymonarchiczna nie rozwijała tak zaciekłej i perfidnej kampanii przeciw osobie królewskiej, jak po tem wymierzeniu sprawiedliwości, przy którem Alfons XIII nie skorzystał z prawa łaski tylko dlatego, że premier Maura nie chciał przedstawić królowi wniosku o ułaskawienie.

Alfons XIII od początku swego panowania zdawał sobie sprawę z tego, że armia jest „najsilniejszą podstawą ładu społecznego, najpewniejszym zabezpieczeniem spokoju publicznego, najbardziej stanowczą obrończynią instytucji, najmocniejszym oparciem dobrobytu i szczęścia Ojczyzny" (słowa z odezwy do armii lądowej i morskiej, która była pierwszym dokumentem podpisanym przez króla w dniu objęcia rządów). Przez trzydzieści lat jedni oskarżali monarchę o militaryzm, a inni o tolerowanie propagandy i akcji antymilitarystycznej. Stanowisko obu stron krytykujących było niesłuszne. Do roku 1921 Alfons XIII starał się ujawniać swoją inicjatywę w najściślejszej zgodzie z przepisami konstytucji z roku 1876, która czyniła z monarchy bezużyteczną prawie dekorację; przez 15 lat zachowując lojalność wobec ustawy konstytucyjnej król podpisywał dekrety przedstawiane mu przez reprezentantów partii i klik partyjnych, przez następne cztery lata akceptował Alfons XIII ministrów wyznaczanych przez junty wojskowe; w r. 1921, widząc niemożliwość utrzymania porządku z zachowaniem konstytucji czy to służącej „kacykom" politycznym, czy też rozpolitykowanym oficerom, Alfons XIII w przemówieniu publicznem w Kordobie oświadczył, że jest zbyt trudno rządzić razem z mafiami politycznemi; w r. 1922 przemawiając w Barcelonie, Alfons XIII jeszcze ostrzej zaatakował polityków partyjnych i przedstawił program rządów prawdziwie monarchicznych, restaurujących zasady tradycyjne i autorytatywne. Popieranie zaopatrzenia armii i uczynienie z Hiszpanii siły imperialistycznej na terenie międzynarodowym — to były zadania, jakie postawił przed sobą młody król wstąpiwszy na tron, ale udziałowi armii w polityce wewnętrznej był Alfons XIII przeciwny, aż do chwili bankructwa rządów junt wojskowych, po którem groził powrót partyjnictwa parlamentarnego. Junty były kierowane przez oficerów średnich stopni, którzy uczynili z junt jakby klasowe związki oficerskie faworyzujące swoich ludzi i posiłkujące się politykami jak swoimi pionkami; przemówienia królewskie z 1921 i 1922 r. były wezwaniami zwróconymi nietylko do opinii publicznej, ale także do wybitnych generałów. Dyktatura wojskowa zaczęła się ukazywać na horyzoncie politycznym w okresie wzrastającej anarchii w r. 1923. Kandydatem na dyktatora był generał Aguilera, lecz prawie w ostatniej chwili przed ogłoszeniem przez niego *pronunciamento* zaszły dwa fakty: Aguilera stracił autorytet, gdyż nie zareagował odrazu i bez względu na konsekwencje na policzek wymierzony mu przez starego polityka liberalno-konserwatywnego Sanchez-Guerrę i w Barcelonie katalończycy znieważyli sztandar hiszpański. Wobec tego Aguilera, który chciał zostać dyktatorem i usunąć króla, wyszedł z obiegu, a *pronunciamento* ogłosił generalny kapitan Katalonii, generał Primo de Rivera, markiz de Estella, który w swoim manifeście połączył okrzyk na cześć Hiszpanii z okrzykiem na cześć króla.

Okresu rządów Primo de Rivery nie należy osądzać jako okres nienormalny; całkiem przeciwnie: nienormalne było życie Hiszpanii w więzach konstytucji *à l'anglaise*, która nie pozwalała używać prawdziwych, tradycyjnych organów życia politycznego, moralnego i społecznego w Hiszpanii: Kościoła, monarchy i armii. Sam Alfons XIII już po opuszczeniu swego kraju w następujący sposób wyrażał się o „dyktaturze", która była poprostu wielokrotnie i najszczęśliwiej realizowanymi w Hiszpanii rządami króla z wybitnym pierwszym ministrem:

„Tę dyktaturę uważam za jedno z najszczęśliwszych wydarzeń mego panowania.

Generał Primo de Rivera był przedewszystkiem doskonałym wojskowym, człowiekiem honoru, pozbawionym zupełnie egoizmu. Dokonał on dzieła olbrzymiego.

Sytuacja Hiszpanii w r. 1923 była nie do zniesienia. Był kryzys finansowy i wojna w Marokku pochłaniała wszystkie siły kraju. Wewnątrz sytuacja była niesłychanie krytyczna. Żołnierze, jak to się działo np. w Maladze, odmawiali wyjazdu do Afryki. W Katalonii mnożyły się manifestacje separatystów. Przedsiębiorcy i robotnicy byli mordowani w Barcelonie i w innych miastach. Znajdowałem się wobec parlamentu niezdolnego do powstrzymania anarchii. Chcąc pozostać królem konstytucyjnym musiałem zachowywać bezczynność, szanując bezpłodne uchwały parlamentu wśród rozpadającej się Hiszpanii. Wielka słabość kraju była mi znana. Wobec takiej sytuacji zatwierdziłem dyktaturę, którą społeczeństwo przyjęło z jednomyślnem zadowoleniem. Nie żałuję tego. Oświadczyłem już wiele razy, że w ciągu sześciu lat rządów Primo de Rivery osiągnęła Hiszpania rezultaty, wymagające w innych warunkach dwudziestoletnich wysiłków".

Za szczególną zasługę Primo de Rivery poczytuje król Alfons zabezpieczenie życia i mienia, zrównoważenie budżetu po półwiekowym deficycie i szczęśliwe zakończenie wojny marokańskiej. Dla potwierdzenia słuszności tej opinii Alfonsa XIII-go dodajmy, że 1^0 od roku 1918 do 1923 zmieniło się dwanaście „gabinetów" ministerialnych, w r. 1922 było 487 strajków, a w r. 1923 (do września) — 465, w r. 1923 (do września) po-

pełniono w Hiszpanii 1259 morderstw i 224 zbrojnych rabunków; 2⁰ przedstawiciele wszystkich barw politycznych (wśród nich Sanchez Guerra, Romanones, Zamorra, Leroux i Miguel Maura) powitali dyktaturę z największą sympatią; 3⁰ aktywność gospodarcza Hiszpanii wzrosła za rządów Primo de Rivery pięciokrotnie, budżet, który w r. 1923 miał 3 miliardy 393 miliony deficytu, zamknięty został w r. 1928 nadwyżką 108 milionów, za 100 pesetas płacono w r. 1902 franków 30, zaś w r. 1930 franków 420; 4⁰ wojna marokańska, którą poprzednie rządy przeciągały, została przez Primo de Riverę szczęśliwie zakończona i to wydarzenie stało się niespodziewanie prawie decydującym elementem powodzenia rewolucji narodowej nieodzownej po pięciu latach doświadczenia republikańskiego.

(Dok. n.) LESZEK GEMBARZEWSKI

Z LISTÓW ASNYKA DO OJCA

ZAPEWNE jeszcze nieprędko ukaże się w druku bogata korespondencja Asnyka, która na jego postać rzuca niezmiernie ciekawe i bardzo piękne światło. W tej zaś korespondencji jedno z pierwszych miejsc zajmują jego listy do ojca.

We wrześniu roku 1867, po ukończeniu studiów uniwersyteckich w Heidelbergu, Asnyk, nie mogąc, jako uczestnik powstania 63 roku, powrócić do Królestwa, osiedlił się we Lwowie, a na jesieni r. 1870 zamieszkał w Krakowie, dokąd też przenieśli się z Królestwa stęsknieni za synem rodzice. W rok później umarła matka, ojciec zaś z żalu po stracie żony nie mógł wytrzymać „w obcym dla niego Krakowie" i powrócił do Królestwa.

Odtąd to zaczyna się korespondencja z synem.) Ogłosił ją w całości (w „Pamiętniku Literackim" szczęśliwy jej posiadacz dr. Antoni Mikulski, który tymczasem upoważnił niżej podpisanego do ogłoszenia w „Myśli Nar." kilku wyimków z listów syna do ojca.

IGN. CHRZANOWSKI

Kraków d. 13 marca 1874 r.

Rusza się... stary Kraków jak może, ale zawsze we wszystkich żywotniejszych sprawach czuć go stęchlizną. Gospodarstwo autonomiczne bądź to miejskie, bądź szkolne w jak najopłakańszym stanie. Wszędzie niedołęstwo, prywata, koteryjność, nigdzie energii i uczciwości. Już więcej jak od roku zaciągnięto tę półtoramilionową pożyczkę miejską, dotychczas nic dla miasta nie robią i tylko nadaremnie muszą opłacać procenta, kłócą się tylko bowiem o to, jak ten łup podzielić pomiędzy siebie i jakie przedsięwziąć roboty, ażeby jaknajwięcej w prywatnych kieszeniach pozostało.

Kraków d. 1 marca 1875 r.

Najukochańszy Ojczulku! Wraz z zbliżającemi się Twojemi Imieninami przesyłam Ci z głębi serca tysiące najserdeczniejszych życzeń, o których żarliwości zapewniać Cię nie potrzebuję. Sam czujesz najlepiej, czem przez cały ciąg życia byłeś i jesteś dotąd dla mnie i o ile mam prawo być dumny tak z miłości Twojej, jak i z zacnego imienia, które mi przekazałeś. Wszystko co tylko mam najlepszego w sercu i umyśle zawdzięczam jedynie Tobie i Świętej Pamięci Najdroższej Matce mojej. Wasze rodzicielskie łono było bowiem tem świętem źródłem, z którego czerpałem wszystkie lepsze natchnienia, prowadzące mnie przez życie, za co Was kochać i czcić do końca dni moich nie przestanę.

Kraków d. 24 września 1876 r.

...Wszystko przechodzi, zasługi i sława, i nie można do niczego przywiązywać wartości. Ale precz z temi melancholicznemi uwagami, które mi przyniosło chmurne powietrze jesienne wraz z towarzyszącem mu przeziębieniem! Dla nas, cośmy już tyle strat bolesnych ponieśli, potrzeba cieszyć się raczej na pogodny wieczór i wierzyć w szczęśliwą przyszłość, jeśli nie dla nas, to dla innych.

Kraków d. 2 listopada 1876 r.[1])

...Przyciskam się do Twego Ojcowskiego serca, znajdując w tym uścisku jedyną pociechę wśród tylu klęsk i nieszczęść, co na nas spadły...

Kraków d. 25 listopada 1876 r.

...Tyle już nieszczęść przeszedłem w życiu, że teraz brak mi już wiary w jakieś pogodniejsze jutro. Zdaje mi się, że los wybiera sobie swoich ulubieńców, nad którymi znęca się do samego końca. Jedno mnie tylko podtrzymuje w tej ciężkiej wędrówce życia, że jakkolwiek znękany i napojony goryczą, odejdę z tego świata, to przecież czyste sumienie i nieskalany honor pozostanie po mnie w niezaprzeczonej spuściźnie. To jedno zresztą może mieć wartość trwałą i niezłomną, bo jak usnę snem bez marzeń, to obojętnem mi będzie, jakie sny miałem przykre czy wesołe w tem życiu.

Kraków d. 13 lutego 1877 r.

...Teraz na gwałt wykończam moją tragedię na konkurs poznański. Mam już cztery akta prawie skończone, i brak mi tylko piątego, który według wszelkich przewidzeń na czas wykończę.

Kraków 22 lutego 1877 r.

...Mój „Kiejstut"... się wkrótce narodzi, najdalej do dziesiątego marca będzie już całkiem gotowy i wybieram się zaraz w podróż do Poznania po konkursową nagrodę.

---

[1]) List pisany po śmierci żony, Zofii z Kaczorowskich, zmarłej w rok niespełna po ślubie—po urodzeniu syna, Włodzimierza. Dziecko wzięli do siebie na wychowanie państwo Kaczorowscy, zamieszkali w Poznaniu.

Kraków d. 28 lutego 1877 r.

...Jak dziecko rządziłem się więcej instynktowem uczuciem, nie mogąc dostatecznie Was[2]) ocenić. Ale w miarę dojrzewania miłość moja zyskiwała coraz nową, a silniejszą podstawę, ukochałem bowiem w Was nietylko stosunek krwi, ale stosunek ducha; ukochałem nietylko dobroć Waszą jako Rodziców, ale całą szlachetność i zacność Waszą jako ludzi. To był grunt, na którym sam wyrosłem moralnie i wszystko, co mam najlepszego w sobie, po Was wziąłem w spuściźnie. Za ten więc spadek będę Wam wdzięczny aż do końca dni moich z jednakową zawsze miłością, myśląc o Was w złej czy w dobrej doli. Los mi wiele odebrać może, ale nigdy nie wydrze mi tych czystych wspomnień, będących zawsze dla mnie źródłem ukojenia i idealnej wiary w prawość i cnotę.

Kraków d. 12 kwietnia 1877 r.

Najdroższy mój Ojczulku! Czytając list ostatni Drogiego Ojczulka, dostrzegłem w nim cień żalu i wymówki, żem na dawniejszy list Jego, zawierający zapatrywanie tak Drogiego Ojczulka, jak i Szanownego Pana Helbicha, wyraźniejszej nie dał odpowiedzi. Milczenie moje wszakże w tym przedmiocie nie wypływało bynajmniej z płochego lekceważenia rad, których doniosłość uznaję, lecz z trudności wytłumaczenia w liście wszystkich moich wewnętrznych pobudek, w przeciwnym oddziaływających kierunku. Bałem się otwierać dyskusji, żeby w czemkolwiek nie urazić Ojczulka, lecz podobno osiągnąłem właśnie ten rezultat, którego chciałem uniknąć. Przykro to mi jest tembardziej, że jaknajusilniej pragnąłbym niczem nie naruszyć tej serdecznej nici, która mnie do Ciebie, Ojcze, wiąże.

Po przejściu tych smutków i boleści dobrze mi jeszcze pomyśleć, że mogę chociaż z oddalenia zwracać się do Ciebie z miłością i zaufaniem po słowo pociechy i zachęty, i nie chciałbym za nic w świecie uronić cośkolwiek z Twoich dawniejszych dla mnie uczuć.

Dlatego to bardzo bolesnemi były dla mnie oba Twoje listy; ...widziałem w nich objawione niezadowolenie, na które wedle sumienia swego nie zasłużyłem. Pojmuję, że mój zamiar zabrania dziecka do siebie może Ci się, Drogi Ojcze, wydawać z wielu względów niepraktycznym i że uważasz za swój ojcowski obowiązek przestrzedz mnie przed trudnościami, z któremi miałbym na teraz do walczenia, lecz jest mi niezrozumiałem, dlaczego gniewa Cię myśl tak naturalna w każdej czującej ludzkiej istocie? i dlaczego tak ostro i bezwzględnie przeciw niej występujesz?

Wszakże poza względami praktycznemi są jeszcze względy moralne, których zapoznawać niepodobna. Między najpierwszemi i najświętszemi obowiązkami człowieka jest bez zaprzeczenia obowiązek wychowywania własnych dzieci, i w każdym razie jedni tylko rodzice odpowiadają przed Bogiem i społeczeństwem za przyszły rozwój, charakter i kierunek swoich potomków. Ojciec, któryby z jakichkolwiek przyczyn pozostawił na czas dłuższy dziecko w cudzem ręku, wyrzekając się nieodłącznych kłopotów i trudów, wyrzekłby się zarazem najcenniejszych praw i pociech ojcostwa. Pozbawiłby się dobrowolnie wszelkiego wpływu na pierwotne rozbudzenie młodocianej duszy i pozostałby obcym dla każdego dziecka, któreby się kochać jego nie nauczyło. Biorąc dziecko do siebie w późniejszych latach, jużby nie był w możności naprawić złego, jakie się stało; owszem takie gwałtowne oddarcie byłoby właśnie z jego szkodą wtedy, gdy się już zrosło ze swojem otoczeniem i przywiązało doń całą mocą młodocianych uczuć. Przytem ojciec miałby już do czynienia z wyrobionym do pewnego stopnia charakterem, który mógłby wypaść nie według jego woli i życzeń.

Pierwsze wrażenia zwykle są najsilniejsze, i ślad ich niełatwo zatrzeć, a jakkolwiek przekonany jestem, że nikt naumyślnie nie zatruwa niewinnej duszy, przecie jak w świecie fizycznym i moralnym są czystsze i mniej czyste atmosfery, któremi oddychając dziecko zdrowiej lub chorobliwiej się rozwija. To są względy, na których się opieram, nie mówiąc już nic o pragnieniach serca i o innych koniecznościach, wypływających z położenia.

Byłbym najszczęśliwszy, gdyby Drogi Ojciec uznał słuszność moich pobudek, lecz i w przeciwnym razie nic nie będę mógł od nich odstąpić; w sprawach bowiem takiej wagi każdy człowiek obowiązany jest działać wedle własnego sumienia.

Kraków d. 31 czerwca 1877 r.

...Byłem w bardzo niewesołem usposobieniu; przyczyniało się do tego moje ciągłe słabowanie i zarazem sprawa konkursowa, o której przebiegu donosiłem. Musiało mnie dotknąć do żywego, gdy pierwsza sekcja komisji odsądziła mój dramat nawet od wspólnego czytania, a złego wrażenia nie zatarło w umyśle moim nawet przysądzenie mi jedynej nadgrody, na której między prawdą a Bogiem obcięli mnie niemiłosiernie, zredukowawszy z pięciuset złotych na dwieście.

Kraków d. 18 kwietnia 1878 r.

...Donosiłem poprzednio, że Glücksberg w Warszawie, zgodziwszy się kupić go („Kiejstuta") do „Bluszczu" za 400 rubli, zerwał potem umowę. Otóż w biednym Krakowie, gdzie wydawnictwo nie rozporządza ani w dziesiątej części takiemi środkami, jak w Warszawie, uzyskałem odrazu bez targu jeszcze korzystniejsze warunki, niż te, przed któremi Glücksberg się cofnął. Kupił bowiem odemnie „Kiejstuta" Tarnowski do „Przeglądu Polskiego" i oprócz zapłaty 400 zł. reńskich gotówką, zapewnił mi 30 procent od każdego sprzedanego egzemplarza i 100 egzemplarzy na własność. W dodatku byłem zaproszony do państwa Tarnowckich na obiad i obsypany grzecznościami... Zgłosiło się do mnie także Towarzystwo św. Wincentego á Paulo, ażebym pozwolił na odczytanie tego dramatu na cel dobroczynny. Jakoż dnia 10 tego miesiąca artyści dramatyczni odczytali go w sali ratuszowej przepełnionej publicznością... Wrażenie musiało być dobre, bo po ukończeniu, prócz zwykłych objawów, przychodzili mi się przedstawiać nieznajomi mężczyźni, a nawet niektóre panie.

(Dok. nast.) [ADAM ASNYK]

[2]) Rodziców.

CYWILIZACJA BIZANTYŃSKA

(ODCZYT WYGŁOSZONY W WARSZAWIE W DOMU KATOLICKIM 11 LUTEGO 1937 R.)

III

Między hellenistycznością a bizantynizmem więcej atoli jest różnic, niż podobieństw. Wytworzyła się naprawdę cywilizacja nowa. Podczas gdy hellenistyczność była tylko mieszanką cywilizacyjną, bizantynizm stanowi cywilizację jednolitą, konsekwentną, z całkowitą równomiernością swych czynników.

Zastanówmy się choćby tylko nad kwestią najbardziej zasadniczą, personalizmu a gromadności. W państwach Seleucydów czy Lagidów nie brak było Greków o wybitnym personalizmie, który nie udzielał się wcale tubylcom, ani najinteligentniejszym, trzymającym się na ślepo orientalnej gromadności, którą Grecy znowu wcale się nie zarażali. Jedno istniało obok drugiego, nie ustępując sobie z drogi. Helleński personalizm nie stawał w Azji do walki z azjatycką gromadnością, i nie nabrał zaczepności; jak wogóle hellenizm zapadł na zobojętnienie, utracił zdatność zdobywania terenów i ludzi, poprzestawał na stronie zewnętrznej i dzięki właśnie takiej nieżywotności umożliwił powstanie hellenistyczności, przechowującej bez znaczniejszych zmian wszystkie cechy orientalizmu. Dopiero w bizantyńskiej cywilizacji miał być personalizm całkowicie wytrzebiony na rzecz gromadności, panującej jednakowo wyłącznie i w państwie i w społeczeństwie.

Despocja w państwach hellenistycznych nie była bynajmniej wyrozumowana. W boskość najwyższej władzy wierzyli barbarzyńcy, ale Grecy nie. Aleksander Wielki i wszyscy jego choćby najmniejsi następcy, brali to, co zastali na miejscu, przekonani, że to się zmienić nie da. Sąd Greków azjatyckich i afrykańskich w tych rzeczach polegał na doświadczeniu, był więc aposterioryczny — przy tem własne ich przekonania i zamiłowania nie wchodziły w grę. Dopiero w cywilizacji bizantyńskiej miano zająć się despocją teoretycznie i wprowadzić aprioryzm do państwowości.

Całkowity zanik personalizmu musiał wieść do mechanizowania wszelkiego życia zbiorowego. Państwo nie pozostające we wspólnocie interesów ze społeczeństwem, uznając tylko swoje interesy państwowe, które narzucano społeczeństwu przemocą, musiało się mechanizować z pokolenia w pokolenie coraz bardziej. Doskonalenie się zaś mechanizmu polega na ujednostajnianiu, ażeby ułatwiać władanie mechanizmem, jednostajność stała się też ideałem cywilizacji bizantyńskiej, w której nigdy nie rozumiano i nie rozumie się tego pojęcia i często popada się w fatalne pomyłki, biorąc jednostajność za jedność.

Nieszczęsny jest stosunek mechanizmu do etyki: Moralność — jest to obowiązkowość uznawana dobrowolnie, a zatem wykwitająca ze społeczeństwa, a nie z państwa, które musi opierać się na przymusie. Mechanizmy aprioryczne podlegają w despocjach ciągłym zmianom, bo zmiennem jest widzimisię głowy państwa i jego doradców; czyż mają głosić za każdym razem jakąś „reorganizację" etyki? Starają się tedy eliminować ją ze swych robót. Mechanizm ma etykę własną, ułamkową; może ona być rozległą, wszechstronną, tylko w organizmie. A tymczasem państwo bizantyńskie nietylko przejęło ze zorientalizowanego Rzymu całkowicie przymusową dziedziczność zawodów, ale posunięto się jeszcze dalej, a to wynalazkiem etatyzmu. Tak jest, bizantyńskiej cywilizacji zawdzięczamy ten blekot zatruwający społeczeństwa i państwa.

Zanik personalności musiał sprawić w cywilizacji bizantyńskiej, że zanikała w niej wielostronność życia i związana z tem etyka. W tych dziedzinach obniżyła się cywilizacja bizantyńska poniżej poziomu dawniejszej cywilizacji hellenistycznej. Przeprowadziwszy bowiem z całą ścisłością zasadę gromadności — w przeciwstawieniu do personalizmu — przyjmowała wszystkie jej konsekwencje aż do ostatka: wszechwładzę państwa uosobionego w jednej osobie, mechanistyczność państwowości, jednostajność wszelkich urządzeń, dualizm etyczny t. j. zwolnienie państwowości od moralności, gnębienie społeczeństwa w połączeniu ze statolatrią i bezwzględny aprioryzm w ujmowaniu istoty państwa i jego potrzeb.

Dalsze różnice pomiędzy hellenistycznością a bizantynizmem zaznaczyły się na tle chrześcijaństwa. Wytworzył się w cywilizacji bizantyńskiej antagonizm pomiędzy Pięknem a Dobrem. Wyłoniło się to z pewnego apriorycznego poglądu na zdrowie i chorobliwość. Sprawa na pozór ściśle cielesna, sięga jednak w głąb aż do subtelności w odczuwaniu stosunku świata przyrodzonego do nadprzyrodzonego, boć wszystkie działy *quincunxa* ziemskiego bytu, wszystkie pięć kategorii życia, pozostają w nieustannym związku z sobą, ze wzajemnym ciągłem oddziaływaniem na się. W bizantynizmie zlekceważono kwestię zdrowia względem etyki, i w tym błędzie tkwią zawiązki tej sprawy jak najdonioślejszej, iż wykluczono etykę całkiem z życia zbiorowego. Mamy tu do czynienia zarazem z najciekawszą kwestią z dziejów sztuki

Sztuka chrześcijańska zakwitnęła najpierw nie w zniszczonej i podupadłej pod każdym względem Italii, lecz w przebogatem Bizancjum. Ponieważ poganie doprowadzili do istotnych wybryków w dogadzaniu ciału, więc chrześcijanie przez reakcję skłonni byli upatrywać w pielęgnowaniu ciała zasadniczo grzech. Znawca orientalistyki chrześcijańskiej stwierdza we wschodniej patrystyce pewną tendencję do rozdziału Dobra od Piękna zmysłowo zewnętrznego. „Dobro i świętość zdają się być bliższe brzydocie, aniżeli pięknu kształtów zewnętrznych — gdy tymczasem cechą jaźni zachodniej w tej dziedzinie jest zbliżenie dobra i świętości do piękna plastycznego". A pięknem może być tylko ciało zdrowe. Nabrano jednak przekonania, jako uprawianie cnoty nie daje się pogodzić z troską o ciało, o to grzeszne ciało, i jako, chcąc osiągnąć wyższe szczeble rozwoju etycznego, należy mieć we wzgardzie swe ciało, a zatem nietylko nie dbać o jego piękno, lecz nawet zaniedbywać zdrowie, skoro ono najbardziej sprzyja cielesnemu pięknu. O takim pochodzie myśli świadczą dzieje malarstwa religijnego. Ponieważ pochód sztuki odbywał się w owej epoce z bizantyńskiego wschodu na zachód, przyjęło się tedy allegoryczne przedstawianie zwycięstwa du-

cha nad ciałem za pomocą wizerunków ciała zcherlałego także na dłuższy czas na Zachodzie. Oderwał się potem od takich poglądów zachodni renesans, ale w cywilizacji bizantyńskiej to pozostało.

Czyż jednak Bizantyńczycy byli brzydkimi i czy gardzono tam przystojnymi, jako gorszącymi okazami do grzechu? Musiał przeto nastać rozdźwięk między teorią a praktyką. O zdrowie dbać musiał bizantyński żołnierz, rzemieślnik, i każdy ojciec rodziny, utrzymujący ją ze swego zarobku; ale i wszyscy inni woleli być zdrowymi — toć oczywista! Następował tedy w cywilizacji bizantyńskiej podział ogromnie nierówny ludności na dbałych o swe uduchowienie, a zatem obojętnych na rozwój fizyczny i na zwolnionych od tego obowiązku w imię konieczności życiowych. Do doskonałości miały tylko dążyć tedy wyjątki, poświęcające się, by się upodobnić do świętych obrazów, czego nie śmiano wymagać od ogółu. Wynikało z tego, że ogół uwolniony jest od uświęcenia życia, aż wyłoniła się nieuchronna konsekwencja, jako nikt nie jest obowiązany doskonalić się. Pozostawiono to mnichom — gdy tymczasem katolicyzm nałożył ten obowiązek na wszystkich. W taki sposób przepadał w Cerkwi i w cywiiizacji bizantyńskiej sam fundament chrześcijaństwa, którym jest przystępność uświęcenia dla wszystkich wiernych bez wyjątku, a zatem wymaganie, by wszyscy z tej możności korzystali.

Ogółowi Bizantyńców było jednak z tem wygodnie. Uświęcanie zamknięto na cztery spusty w klasztorach, a schizma staczała się po równi pochyłej formalizmu, pozbawionego ducha. Wewnętrzne życie duchowe znanem było tylko mnichom („pustelnikom"), ale po pewnym czasie przestano to rozumieć nawet po klasztorach (czego świadkiem święta góra Athosu). Skoro zaś nierozumna doktryna zdjęła z bark wyznawców jarzmo duchowe, więc wyznawcy strzęśli je z siebie chętnie, a strząsłszy nie dali go już nigdy nałożyć na siebie na nowo. Tak tedy lekceważenie piękna cielesnego zaszkodziło duchowi, bo rozwój wymaga harmonii między wszystkiemi kategoriami bytu ludzkiego. Mylili się Bizantyńcy, jakoby zalety ciała a duszy pozostawały w stosunku odwrotnym do siebie. W katolicyzmie rozwiązano ten problem inaczej: Piękno formą świętości i jej allegorią.

Łatwo zrozumieć, że skoro tylko całą ludność nie zakonną, a więc można powiedzieć z bardzo nieznaczną tylko przesadą: ludność całą zwolniono od doskonalenia się, zwolniono temsamem całą cywilizację bizantyńską od udziału w rozwoju etyki. Cywilizacja ta stawała się mniej czułą na zagadnienia etyczne. Łatwo tedy przyjął się pogląd, że życie zbiorowe etyki nie potrzebuje.

Poruszony tu dział z wielkiego zagadnienia stosunku estetyki do etyki, stanowi równocześnie przyczynek do kwestii formy a treści. Nie mogę tu rozwijać bliżej tej sprawy; poprzestaję na twierdzeniu, jako mechanizmy zbiorowe mają także swoje złudzenia [1]), z których najważniejszym jest zaślepienie w formie, mylenie jej z treścią, co w praktyce wychodzi na dawanie formie pierwszeństwa przed treścią. W stanowczej chwili wypada potem przekonać się niestety za późno — że się miało w ręku same tylko czcze formy.

Jeszcze inna sprawa wywołała na tle chrześcijaństwa przepastną różnicę pomiędzy cywilizacją bizantyńską a łacińską (rzymskiej następczynią). Chodzi o stosunek sił fizycznych do duchowych, przy których supremacja? Kościół wymaga niezależności od władz świeckich. Jest to minimum, poniżej którego życie religijne nie może rozwijać się należycie. Wiadomo, że już sam Konstantyn Wielki zwykł był dyrygować Kościołem a następnie uważano tam Cerkiew za proste *instrumentum status*. Lecz na Zachodzie wysuwało się tymczasem pytanie: cóż należy czynić, jeżeli władza duchowna i świecka wydadzą nakazy sobie przeciwne? czyż nie musi się to rozumieć samo przez się, że trzeba iść za głosem Kościoła? Stanowi to integralną część generalnego obowiązku, żeby dawać pierwszeństwo duchowi przed materią, moralności przed zyskiem, słuszności przed siłą, prawdzie przed mniemaniem władzy. Stanowi to postulat godności osobistej, upoważnia do posiadania własnego zdania, które może być niezgodne ze zdaniem osoby, posiadającej władzę nad nami. Każdy ma prawo myśleć samodzielnie i żyć zgodnie ze swym sumieniem. Czyż tylko prawo? a może to obowiązek?.

I tak uznawanie supremacji sił duchowych nad fizycznemi wiedzie prosto do... personalizmu. Runęłaby cywilizacja bizantyńska, gdyby Bizantyńcy nie przyznawali supremacji siłom fizycznym. W cóż obróciłaby się statolatria wraz z antropolatrią głowy państwa?. Jeżeli każdy ma prawo głosić to, co uważa za prawdę, jeżeli wogóle prawda i poczucie słuszności mają wkroczyć do życia publicznego, w takim razie wolno władzę krytykować, wolno nawet w pewnych wypadkach sprzeciwiać się władzy, urzędowi, cesarzowi. Cała teoria despocji orientalnej rozbiłaby się w strzępy.

Ale Prawda nie doznawała żadnego kultu w cywilizacji bizantyńskiej. Stwierdza zaś doświadczenie historyczne, jako zachodzi stosunek prosty między stopniem prawdomówności a stanem nauk. Toteż w Bizancjum stan nauki był mizerny, chociaż uczonych mnóstwo, chociaż Bizantyńca należy sobie wyobrażać zawsze z grubą książką w ręku. Uczoność ich pozbawiona była twórczości; bo nie opierała się o miłość prawdy. Lecz miłość prawdy, to droga wiodąca niezawodnie do personalizmu! a zatem między prawdą a bizantynizmem „położona jest nieprzyjaźń"; i czy może być inaczej?

Takie są — bardzo znaczne różnice pomiędzy hellenistycznością a bizantynizmem. Problem o supremację tych czy owych sił przedtem nie istniał, bo wprowadziło go dopiero w umysły chrześcijaństwo, a na stosunek Piękna do Prawdy zapatrywano się w hellenistyczności po helleńsku, co bizantynizm obrócił na nice. Świątobliwość bizantyńska mogła nawet potępić zupełnie piękno plastyczne, zakazać rzeźb i obrazów (obrazoborstwo 726 — 787 i 815 — 842), podobna w tem do islamu i judaizmu, a nie do hellenistyczności.

(D. n). FELIKS KONECZNY

[1]) Jakżeż pouczające byłoby studium o złudzeniach biurokracji!

NA WIDOWNI

Przemądry mit o Anteuszu. — Człowiek ma siły tylko z ziemi. — Co mu miasto zabiera. — O typie naszej cywilizacji. — Wieś i miasto winny być stale powiązane.

JEST w greckiej mitologii przemądra legenda o Anteuszu, niepokonanym przez nikogo olbrzymie, któremu moc i siłę dawało każdorazowe zetknięcie się z ziemią. Jakaż to prawda głęboka i istotna, a dzisiaj, niestety, aż za często zapoznawana. Zawsze i zawsze tylko ziemia dawała i daje nam siłę i im pełniejszy nasz związek z nią, tem mocniejsza duchowa postawa, tem lżejszy i zrozumialszy dla nas trud życia.

Teraz jest wiosna i stawia swoje pierwsze, dosyć jeszcze nieśmiałe kroki. Ale są już pączki i wiew wiatru niesie nam zapowiedź czegoś upojnego. Zagubieni w murach miejskich mieszkańcy nie zdają sobie nawet sprawy z tego, jaki na świecie dzieje się cud. Nie bardzo chyba wiedzą, że to okres Zmartwychwstania i że ziemia razem ze swoim Stwórcą wstaje teraz do nowego życia.

Każda pora roku ma swoich chwalców i każda ma swoje uroki—ale najbardziej uprzywilejowaną chyba jest wiosna, bo jej czar taki łatwy i zrozumiały dla każdego. By chwalić jesienie trzeba mieć dużo za sobą i dużo mądrego zadumania, by chwalić lato—pewien pion moralny (bo to wszystko są i epoki życia) — ale, by chwalić wiosnę, wystarczy mieć poprostu oczy otwarte, zapał i wiarę, nawet już nietyle w siebie, co już tylko w swoje dziś.

Anteuszowi dawało moc zetknięcie z ziemią, a i katechizm nas uczy, że jesteśmy prochem i w proch się obrócimy. Stąd może urok cmentarzy, które pełne są nie rozpaczy, lecz łagodnego raczej smętku,—tego smętku od którego nieraz i największej radości oddzielić nie można. Drzemie w nich głęboka mądrość, głębokie dla nas ostrzeżenie, no i jeszcze bardziej zrozumiałym staje się ten związek z ziemią, naszą najprawdziwszą macierzą.

By rzeczy wielkie zrozumieć trzeba zawsze zejść do drobnostek. Tak samo jest i tutaj: — z ojczyzną; i ona kryje się w drobiazgach, a nie jest czemś oderwanem. Ona jest w nas i koło nas i wszędzie. Każdy z nas to czuje i wie. Każdy z nas ma ojczyznę: oczywiście nietylko tę wielką, kreśloną na mapie, tę której się dziecko w szkole uczy, ale tę drugą najistotniejszą, najbardziej własną, tę, za której pośrednictwem do do tamtej większej należy. A ta najbliższa ojczyzna to zawsze jakiś dom, jakaś rodzina, coś co nam duszę ukształtowało, co z nas zrobiło człowieka, do czego myślą i sercem wciąż się powraca. I w tej maleńkiej ojczyźnie kryją się pewne jakby predestynacje: człowiek jest ściśle od niej uzależniony i nie może być inny niż ona, — nie może rość wbrew swemu otoczeniu.

Ojczyzny swojej nikt nie zmieni nigdy, jej będzie przez całe życie i tylko w związku z nią będzie silny — to właśnie prawda mitu anteuszowego. Uciekać od niej, od rodziny można zawsze, buntować się niezliczoną ilość razy,—taksamo, ale zawsze poto jedynie, by się w końcu przyznać do porażki i wrócić. Znamy to wszyscy i każdy z nas, choćby na chwilę był kiedyś synem marnotrawnym. W duszy ludzkiej tyle jest pragnień, wzlotów i walk, że mądrość ich kojarzenia tylko owemi smutnemi i ciężkiemi szlakami doświadczeń się zdobywa.

Siłę więc życiową daje nam zatem tylko nasz dom, nasza rodzina; w nim nasza ucieczka i ostoja i stwierdzając to, jeszcze raz wrócimy do ziemi. Jesteśmy tem silniejsi, im większy mamy z nią związek, im bardziej wiejski jest nasz dom, im więcej nam ta najgłębsza, bo Boża, nauczycielka duszę kształtowała. Bez kontaktu z nią, bez orzeźwiania się w jej krynicach i fizycznie i moralnie charlejemy.

I tu ogromne oskarżenie cywilizacji wielkich miast. — Tych miast molochów, ciemnych i zgiełkliwych, brudnych i gwarnych. Kominy i fabryki są potrzebne, także bulwary i kawiarnie, ale niepotrzebne te koszmarne światy, zamykające całą egzystencję człowieka w kamieniach. Dusza ludzka tłucze się wtedy o bruk i wykoleja. Ciało więdnie, jest blade i anemiczne. Chude i rachityczne dzieci wielkich miast, mają i muszą mieć niezdrowe także i dusze. „W piwniczej izbie” Konopnickiej, skąd nieba nigdy nie widać narodzić się może tylko bunt i gorycz. Proletariat jest biedny nie tylko dlatego, że nie ma co jeść, ale przedewszystkiem dlatego, że żyje niegodną człowieka egzystencją, zdala od tego co go wyzwala, zdala od jego największej, a wiecznej matki — natury.

Bo cóż zresztą znaczy nędza materialna wobec duchowej. Czyż bogacz z miasta nie jest w istocie równie biednym, równie zjednoczonym w koleżeństwie bratem nędzarza? Czyż i jemu nie zubożyły i nie umniejszyły duszy kamienie? — Każde dziecko miejskie traci coś bezcennego w swoim dzieciństwie; zarówno to z suteryn, jak to porządnie ubrane, które z matką, czy z boną idzie na spacer. Uliczny skwerek, czy nawet i park, nie zastąpią bowiem nigdy wsi i tego co ona daje.

A to nieszczęsne kalectwo idzie i idzie dalej. I teraz gdy budzi się wiosna, gdy drzewa mają pąki, — siłą rzeczy się jakby przypomina miłość. No i refleksja: jak przeraźliwie biedny jest człowiek, co kochał tylko w mieście i po miejsku. Który pierwszą intymność przeżywał w gwarze zadymionej kawiarni, który całował gdzieś w klatce schodowej, czy ustronnej bramie. No i jakaż biedna ta miłość, która snuć się musiała po ulicy. napotykać na natrętne spojrzenia i ocierać o wszelki brud zapadającej, miejskiej nocy. Czyż takie przeżycia, czyż zupełny brak tych innych pełnych słońca i światła, gdzie kocha się wśród kwiatów i gdzie wiatr polny igra z włosami ukochanej — nie muszę rodzić goryczy, pesymizmu, materializmu i jekiejś smutnej, cynicznej niewiary?....

Ale człowiek miejski nie tylko jest okradziony z należnego mu piękna, ale skoro to piękno stanowi nieodłączny składnik doskonałego, także i umniejszony na wieki. To naprawdę człowiek ślepy, jakiś kaleka, potrzebujący na gwałt odrodzenia. Cały styl naszej cywilizacji wypaczony, niemożliwy do zrozumienia.

Ewangelia oddycha bowiem wsią, pełna jest wiejskich porównań, pełno w niej zboża i kąkolu. pełno piękna natury. A z niej i tylko z niej czerpie moc życia cały nasz świat. I dlatego musi być w swojej zasadzie, w swoim duchu wiejski jak ona. Polna droga jest dla niego jedyną drogą. Każda inna to wykolejenie. I takiem wielkiem

tragicznem wykolejeniem jest maszynowy urbanizm złowrogiego dziewiętnastego stulecia.

To jedna ogromna racja, żeby się trzymać wsi, żeby miasta budować tak, by kontakt z przyrodą nie był zatracany. Ale jeśli chodzi o nas, o Polskę to za tą pierwszą racją idzie i druga. Musimy być wiejscy, bo jesteśmy — łacińscy, i musimy być wiejscy jeżeli chcemy być sobą. Kultura nasza musi być wiejska o ile nie chce zrywać łączności ze swoją pieśnią wieków, o ile nie chce się wyrzec lip czarnoleskich, białego dworu, kolebki i natchnień poetów, i chłopskiej chaty przez Piasta symbolu całego narodu.

Jestem Polakiem: — więc mam w sobie coś z pól, coś z ich niepozornego piękna, ich czarującej prostoty. Do pól tych muszę dążyć, jak do siebie samego. Bez nich, bez ich szumu i ciszy nie zrozumiem nigdy własnej ojczyzny i własnej duszy. Muszę być wiejski, jeśli chcę tworzyć po narodowemu. Muszę czuć i kochać ziemię. Muszę się z nią stykać, stykać jaknajczęściej, by i w mieście tego kontaktu nie zatracić i swojej wiejskości się nie wyzbyć.

Miasto jest bowiem konieczne i życie jego istnienia wymaga, ale sens tego życia kładzie mu też granice, których bezkarnie przekraczać nie można. Złoty środek, arystotelesowska miara obowiązuje człowieka zawsze. Wszelkie odchylenia są szkodliwe, mszczą się też na ludzkich dziełach fatalnie. I dziś gdy na zachodzie rozrosły się potworne miejskie molochy, a i do Polski ze swoim stylem życia zaglądają, czas pomyśleć o wielkich prawach natury; których łamać się nigdy nie godzi, a łamania których dobro przemysłu i handlu bynajmniej wcale się nie domaga.

Życie polskie miało, a właściwie jeszcze wciąż ma, tę walną zaletę, że nasz żywioł miejski jest ze wsią powiązany i ma z nią wcale mocne czucie. Nasza inteligencja, a nieraz i nasz stan trzeci to społeczna gentry, to takasama szlachta jak ziemiaństwo, bardzo silnie z niem różnemi węzłami zczepiona.

Dzięki też temu nasz jednolity ton kultury został zachowany. Ale trzeba też i na przyszłość zadbać, by różnolite społeczne przemiany naszego dzisiaj tego nie odmieniły i tych ważnych związków nie pozrywały.

Miasto i wieś muszą być stale ze sobą powiązane, winny się stale uzupełniać. Nie powinno bodaj być, nawet czysto miejskiego człowieka, a tylko miejsko-wiejski. Nasza kulturalna elita, winna się rozwijać wciąż w typie gentry, czyli w typie szlacheckim, bo jedynie taki typ może być prawym dziedzicem naszej kultury. A jeśli tak to narodowa konstrukcja wsi musi się z tym kardynalnym postulatem liczyć.

Chodzi mi tu konkretnie o to, by nasza elita miała możność kształtowania po wiejsku swej duszy, miała możność anteuszowego stykania się z ziemią. By nadal miała na wsi swój społeczny odpowiednik — to jest dwór wiejski. By parcelacja tego dworu nie niszczyła, bo to wielkie narodowe dobro, bez względu nawet na jakość ziemiaństwa, które tam aktualnie siedzi. Niech się rozdziela między chłopów dworska ziemia, ale niech się nigdy nie niszczy dworu. Zasadą powinno być, że każde takie osiedle winno być oszczędzone, że nigdy do kamienia go niszczyć nie można, że ono koniecznie zostać się musi. A o racji i prawdzie tego co mówię niech mi zaświadczy wielki, chłopski Orkan.

Właśnie niedawno czytałem pracę Skrzypka „O narodowy program reformy rolnej”, — rzecz to bardzo ciekawa i sumienna, ale brak mi w niej niesłychanie tego o czem piszę, to jest całej owej metafizyki reformy rolnej, jakbym powiedział—bo ziemia, rzecz tak bardzo uczuciowa nie da się nigdy w same cyferki ująć. Mądry ten program trzeba koniecznie uzupełnić o to wszystko co tu zawarłem, dać mu w ten sposób duszę. Brak mi już czasu i miejsca, by jasno postulaty precyzować — ale to nie jest takie trudne. W niektórych krajach istnieje już instytucja domu rodzinnego. Zróbmy więc z takich bez reszty rozparcelowanych dworów, opartych o jakieś minimalne choćby ośrodki — takie właśnie „domy rodzinne”, własność związków rodowych, ich wakacyjne ojczyzny. Chłop przez to uszczerbku nie poniesie. Wtedy i wilk będzie syty i koza cała.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

SYTUACJA NA WYŻSZYCH UCZELNIACH

Parę lat temu w czasie wielkiego strajku akademickiego, broniącego autonomii wyższych uczelni, w zgodnym chórze świata uczącego się i nauczającego nie brak było i głosu profesora Świętosławskiego, obecnego ministra W. R. i O. P. Mówił on naówczas:

„Rozruchy studenckie powtarzają się od czasu do czasu we wszystkich państwach, są one zawsze odbiciem pewnych warunków politycznych kraju lub pewnych idei, które w głowach młodzieży nurtują. Rozruchy ustają nie pod wpływem kar i represyj władz autonomicznych akademickich, lub też władz rządowych, ale pod wpływem zmiany nastrojów ogólnych młodzieży.

W owym zgodnym chórze nie brak było i głosu obecnego wice - ministra W. R. i O. P., profesora Ujejskiego, ówczesnego rektora U. W., który powiedział, iż w żaden sposób nie da się zamienić berła rektorskiego na gumową, policyjną pałkę.

Dzisiaj rozwiązano wszystkie organizacje ideowe **polskie** na terenie Uniwersytetu Warszawskiego, niektóre (narodowe) organizacje na terenie Uniwersytetu Wileńskiego, oraz dokonano zamknięcia Bratniej Pomocy U. J. P.

Duch przemówień obecnych kierowników najwyższego urzędu oświaty był kiedyś przepojony duchem liberalizmu. Jesteśmy przekonani, że dzisiejsze antyliberalne zarządzenia również dokonane są w imię wolności. Jeden z tych paradoksów, co to pozostaną czemś wielce charakterystycznem, dla Polski pomajowej. Tak, jak np. walka z demokracją o demokrację.

Jakiż jest cel zarządzeń ostatnich? Jeśli minister Jędrzejewicz tłumił rygorami administracyjnymi ruch ideowy, to mógł przypuszczać, że te metody odniosą skutek, ale chyba dzisiej już nie ma najmniejszych złudzeń — od czasu pamiętnego strajku nie widać przecież na uczelniach młodzieży nienacjonalistycznej. Co więcej, zniszczenie Rzeczpospolitej Akademickiej tak wspaniale rozkwitłej, ale także absorbującej bez reszty każdego studenta, wyrzuciło go poza krąg uczelni, zetknęło z życiem.

Była to zupełnie nieoczekiwana usługa, wyświadczona ruchowi narodowemu.

*

Jak na sprawę ostatnich zarządzeń na uniwersytetach zapatruje się opinia publiczna? Przytoczymy urywki z artykułu redaktora konserwatywnego „Słowa", p. Mackiewicza. W artykule wstępnym (w nr. 90) pisze on:

Tak się złożyły stosunki w Polsce, że młodzież odgrywała i odgrywa u nas zupełnie pierwszorzędną rolę. Gra jest poważna. Aby się zdecydować na taki krok, jaki został uczyniony, trzeba mieć dobrze przemyślany plan w głowie. To, co pisze Dz. Polski, żadnego planu nie ujawnia.

Prima-aprilisowe rozporządzenie p. ministra Swiętosławskiego powołuje się na ustawę p. Jędrzejewicza, o zakazie politycznych organizacyj. Ale „odpolitykowanie" życia młodzieży akademickiej to przecież fikcja. Kto wierzy, aby można było wytrzebić politykę wśród młodzieży akademickiej, niech podniesie rękę, a będziemy wiedzieć, co o nim mamy myśleć.

Chcielibyśmy więc wiedzieć, czy zarządzenie z 1 kwietnia jest tylko czasowe i przewidujące otwarcie tych samych organizacyj, tylko pod innemi nazwami i godłami, czy też ma być stałe, nadal utrzymywane i konsekwentnie stosowane.

W wypadku pierwszym będziemy mieli do czynienia z operacją, której złe strony są widoczne, dobre niewidoczne.

W wypadku drugim wątpimy, aby można było realnie sądzić, że przez zamknięcie Młodzieży Wszechpolskiej zabije się endecję na uniwersytecie.

Oczywiście, że robimy zasadniczą różnicę pomiędzy bolszewikami, a nacjonalistami. Pierwszych trzeba tępić na uniwersytecie o wiele energiczniej, niż się to robi, tępić za pomocą środków policyjnych. — Bolszewik to zdrajca państwa. Natomiast młodzież nacjonalistyczna wymaga innego traktowania. Przecież stanowi ona większość na wyższych uczelniach, a więc prędzej, czy później na nią spadnie odpowiedzialność za losy naszego państwa.

Cały mój wysiłek—pisze Cat-Mackiewicz dalej — gdybym był ministrem oświaty, — szedłby w kierunku wzbudzenia w tej młodzieży poczucia współodpowiedzialności za przyszłe losy państwa, w kierunku zbliżenia jej do problemów państwa. Rozwiązywanie organizacyj nie zbliża, przeciwnie, rozwiązywanie organizacyj oddala.

A w końcu, co jest przyczyną rozdźwięku pomiędzy rozwiązującem ministerstwem, a rozwiązaną młodzieżą? S p r a w a ż y d o w s k a.

Oczywiście, ani biciem, ani obrzydliwem szturchaniem żydówek, ani tem mniej petardami, tej sprawy się nie załatwia, można ją tylko zajątrzyć. Ale z drugiej strony, czy owe rozwiązywanie organizacyj cokolwiek załatwia, czy także tylko rozjątrza.

Niewłaściwe metody załatwiania przez młodzież sprawy żydowskiej na wyższych uczelniach, są jednak tylko jedną stroną medalu. Po drugiej ulokujemy takich polityków, jak p. min. Świętosławski, który niewątpliwie, jak się pogrzebać w jego przekonaniach, to się okaże umiarkowanym asymilatorem. 90 proc. ludzi decydujących o oświacie w Polsce jest w głębi duszy przekonane, że sprawa żydowska da się załatwić w ten sposób, że żydzi staną się Polakami. Ale to jest program jaknajbardziej niebezpieczny! Czasami nawet ludzie najgenjalniejsi nie rozumieją przemian, które za ich życia zaszły.

W kwestji żydowskiej nie zdołamy już odwrócić koła historii. Stała się ona kwestją europejską, a Polska jednym z terenów walki narodu żydowskiego o utrzymanie swej dotychczasowej sytuacji w Europie. Czy w tych warunkach wspólnota szkoły polsko-żydowskiej, która dziś w 100 proc. w Polsce przynajmniej formalnie obowiązuje, da się utrzymać? Czy rozwiązywanie antysemickich organizacyj bez żadnego programu załatwienia kwestji żydowskiej w szkołach polskich nie stwarza właśnie nowych konfliktów? Czy zgadza się wreszcie z polityką płk. Koca, który wyciągnął rękę do społeczeństwa?

Opinia powyższa zasługuje na baczną uwagę. Sprawa jest zbyt poważna, aby ją mechanicznie, bez dostatecznego zgłębienia myślą humanistyczną rozstrzygać. Spokojne rozważanie tej sprawy przez opinię publiczną ułatwić tylko może rozwiązanie kwestji. Nie można jej pozostawiać mechanicznemu z obu stron traktowaniu.

NAUKA i LITERATURA

PRZEKŁADY ARDESCHAH-KACZKOWSKIEGO

Nakładem *„Essener Verlags Anstalt"* ukazała się w języku niemieckim powieść Józefa Weyssenhoffa „Soból i panna". Tłumaczem jest Jean Paul Ardeschah. Pod pseudonimem tym ukrywa się długoletni dziennikarz i literat, autor wielu oryginalnych nowel pisanych w języku niemieckim, „Improwizacyj do nokturnów Chopina", pisanych również po niemiecku, a wreszcie generalny konsul polski w Holandii, p. Jan Paweł Kaczkowski.

Wysoką rangę w piśmiennictwie zdobył sobie p. J. P. Kaczkowski swemi tłumaczeniami na język niemiecki poetów belgijskich oraz arcydzieł literatury polskiej. Jemu to właśnie zawdzięczamy popularność Wład. Reymonta w Niemczech, a następnie uzyskanie przez polskiego pisarza nagrody Nobla. Z majsterskiego bowiem przekładu J. P. Kaczkowskiego zapoznawali się sędziowie konkursowi z „Chłopami" i wedle niemieckiego tłumaczenia przełożono to dzieło na język szwedzki.

W r. 1907 ogłosił J. P. Kaczkowski „Wybór pism Norwida" p. t. C. Norwid. *„Eine Auswahl aus seinen Werken"*. Przekład poprzedził tłumacz obszernem studium o Norwidzie. Wydawnictwo to zawiera nowele: „Stygmat", „Cywilizacja", „Tajemnica lorda Singelworth", *„Ad Leones"*, „Bransoletka", „Garść piasku", „Ostatnia z bajek" oraz szkic filozoficzny: „Milczenie".

Po Norwidzie ogłaszał Jean Paul Ardeschach (Kaczkowski) w periodycznych pismach niemieckich przekłady nawet Konopnickiej, poematów Słowackiego, opowiadania K. Tetmajera z „Skalnego Podhala", nowele Reymonta oraz Weyssenhoffa, wreszcie „Psalmy" Kasprowicza.

W r. 1912 ukazały się w przekładzie Kaczkowskiego „Chłopi" (*„die Bauern"*, Reymonta, zyskując dużą poczytność i entuzjastyczną krytykę, która w następstwie spowodowała nagrodę Nobla.

W r. 1917 ukazał się w przekładzie niemieckim „Ostatni Sejm" Rejmonta (*„der Letzte Polnische Reichstag"*), w r. 1918, Reymonta „Z ziemi Chełmskiej" *(„Aus dem Chelmer Land"*. Książka ta wywołała w prasie niemieckiej poważne komentarze z racji niedawno zawartego pokoju Brzeskiego, który przesądzał na niekorzyść Polski — Chełmszczyznę.

W r. 1918 w „Polskiej Bibliotece" wydawanej w Monachium przez Kościelskiego i Guttego ukazał się wybór chłopskich nowel p. t. *„Polnische Bauern novellen"* a w 1924 „Bunt" Reymonta.

Służba dyplomatyczna na stanowisku generalnego konsula w Holandii oderwała J. P. Kaczkowskiego od pracy literackiej. Z inicjatywy jednak i przy współpracy J. P. Kaczkowskiego ukazało się w ciągu 15-letniego jego urzędowania w Holandii 30 książek o Polsce lub przekładów z literatury polskiej, nie licząc mnóstwa artykułów w holenderskich pismach z zakresu polskiego życia kulturalnego, literatury i sztuki.

Był to swego rodzaju wyłom, albowiem przez długie dziesiątki lat reprezentowały kulturę polską w Holandii żydowskie rzesze z *gheta*.

Po opuszczeniu placówki konsularnej rozpoczął znów J. P. Kaczkowski działalność literacką, a wynikiem jej jest ukazanie się w języku niemieckim „Pism Marszałka J. Piłsudskiego" w 4-ch tomach (1 tom tłumaczył d-r Guttry, 2-gi tom rotmistrz Otto Riedl, tom 3 i 4 J. P. Kaczkowski).

W r. 1936 ukazała się w przekładzie niemieckim powieść Reymonta *„Nil desperandum"* i J. Parandowskiego „Dysk Olimpijski", który na Olimpiadzie w Berlinie otrzymał trzecią nagrodę. Wreszcie przed kilku dniami zjawiła się po niemiecku powieść Weyssenhoffa „Soból i panna" (*„der Zobel und die Fee"*).

*

Wśród tłumaczeń z języka polskiego na obce przekłady J. P. Ardeschaha-Kaczkowskiego zajmują niewątpliwie najpoważniejszą pozycję. Dokonywał je artysta słowa niemieckiego a równocześnie Polak z urodzenia i rasy, rozumiejący atmosferę i ducha polskiego. Losy życia rzuciły go w kraj obcy a nawet wrogi, zdobył tam wybitne pisarskie stanowisko, które spożytkował na służbę swego narodu. Czynił zaś to w czasach najniepomyślniejszych dla polskości, wygrywając sprawę dzięki zaletom swego pióra.

Dla próbki zaś finezji artystycznej niech posłuży drobny wyjątek—przekładu staropolskiej pieśni łowieckiej: „Jedziemy na łów, na łów — towarzyszu mój“, która brzmi w tłumaczeniu Jean Paul'a Ardeschaha (Kaczkowskiego):

Wir wollen auf die Pirsch, die Pirsch,
Kamerade mein!
Pirsch, Pirsch, Pirsche
Auf Hausen und auf Hirsche,
Kamerade mein!
Es rennt, es rennt ein Hase,
Kamerade mein!
Lass die Hunde hinterdrein,
Unser muss der Hase sein,
Kamerade mein!
Und nun woll'n wir teilen, teilen,
Kamerade mein!
Dir der Hase und das Reh,
Mir der Zobel und die Fee,
Kamerade mein!

Dr. W. B.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Marian Niżyński. „Trzy mgły”. Warsz. 1936. Skł. gł. Gebethner i Wolff. Str. 32.

Przedstawiciel najmłodszej generacji poetów, szczęśliwie łączący w sobie dość wszechstronne uzdolnienia, bo nietylko gładko się mową wiązaną (przeważnie asonancje) tłumaczący, nietylko mający poza sobą udany debiut sceniczny („Dalmino“ w 2 cz., w teatrze im. Słowackiego w Krakowie i w Ateneum w Warszawie), ale także pendzlem, paletą i farbami w wolnych chwilach się zabawiający, czego dowodem własne ilustracje do najwcześniejszej jego książki, zbiorku poezyj, p. t. „Opowieść o dzwonniku z portu Jaffa”, charakterystycznej ze względu na nader pomysłowy układ graficzny, będący również dziełem autora.

Tamten tomik pisany był prawie w całości pod świeżym urokiem Norwida („Fortepian Krysi”), niniejszy (Apoteoza I), zawierający prolog wizji scenicznej, wystawionej w r. 1935 przez Teatr Miejski im. Juliusza Słowackieno w Krakowie, przywodzi na myśl Wyspiańskiego i jego symbolikę.

Kwestia takich czy innych wpływów u debiutantów nie jest czemś dziwnem lub nowem, znamienne jest za to, skąd młode pokolenie czerpie podniety artystyczne — a szukać ich, bezwzględnie, bez uszczerbku dla własnej oryginalności, musi.

Nie jest także wynalazkiem Niżyńskiego tendencja społeczna i chęć zerwania z frazesem i zakłamaniem, jego zato własnością próba uplastycznienia scenicznego swobodnej gry wyobraźni i poetyckiego marzenia, przy pomocy bardzo pomysłowych kombinacyj rytmicznych.

Niżyński, prawie zupełnie nieznany w stolicy, zasługuje, aby zwrócono nań baczniejszą uwagę. (ST. J.)

Ś. † P.

KAROL SZYMANOWSKI

W DNIU 29 marca r. b. zmarł w Lozannie w 54-ym roku życia znakomity kompozytor Karol Szymanowski.

Urodzony w Tymoszówce pod Humaniem w domu ziemiańskim w warunkach, dających możność wywczasu, wygody i pracy wewnętrznej nad osiągnięciem szczytów kultury, do jakich doszło społeczeństwo, tem wyraziściej odczuwał swoją przynależność do cywilizacji polskiej i wogóle zachodniej, że mu żyć wypadło na kresach i odcinać się od wpływów Wschodu. Wykołysał go, jak Bohdana Zaleskiego, step, o którego posiadanie Polska ze wschodem długie wieki walczyła.

Odrzucony stąd po rewolucji rosyjskiej i ustaleniu granic Polski jakiemś prawem kontrastu szukał Szymanowski uzupełnienia swej duszy w Tatrach. Żadna ze sztuk nie jest tak zależna od somatycznego związku duszy z przyrodą, jak muzyka i pokrewna jej poezja liryczna. Szuka dla siebie trójwymiarowego związku z wszechbytem ciału dostępnym przez przenikanie go w szerz, w głąb i w zwyż.

Ze znanych nam zbliska twórców mamy przykłady takiego dążenia w poetach Kasprowiczu i Tetmajerze, w muzykach Karłowiczu i Szymanowskim. Szymanowski bliższy jest Tetmajerowi tem, że pierwiastków poezji wysokogórskiej szukał, jak tamten, w tych wcieleniach, jakie życie wytworzyło w duszy ludu górskiego, podczas gdy Kasprowicz i Karłowicz szukali tych pierwiastków raczej w martwej przyrodzie i w tem, co nad górami, w owej bezwzględnej ciszy, dającej wrażenie bezpośredniego zetknięcia się z nieskończonością w czasie i przestrzeni.

Szymanowski uznał duszę muzyczną górala za swoją współpracownicę, która mu daje gotowy wynik poufnego, odwiecznego współżycia z przyrodą. Tędy przez duszę górala, nie bez mistycznego dreszczu dotarł do tajemnic muzyki, najbliższych przyrodzie, a tak potrzebnych duszy wyrafinowanej, ktora już posiadła wszystko, co sztuka uczona świata dać mu była w stanie. Szukał przez tę duszę gór najprostszego wyrazu harmonii, a więc prostoty. A jednak powstał stąd dramat w stosunkach jego ze światem kultury, bo wypadło, że mniej był prosty od tego, do czego ucho współczesnych nawykło.

Kolej zwykła nawrotów kultury do natury.

*

Studia początkowe Szymanowski zaczął w Warszawie pod kierunkiem Zygmunta Noskowskiego, autora symfonii „Step”. Szymanowski ze stepu przyszedł, a skończyć miał na „Harnasiach”. Według prof. P. Rytla („Warsz. Dziennik Narodowy”) etapy twórczości jego następowały w ten sposób:

„Ze względu na formę, lub raczej sposoby, jakimi wypowiadał się Szymanowski w ciągu kilkudziesięciu lat swego życia twórczego, dzieli się zazwyczaj jego dorobek kompozytorski na kilka grup. Pierwsza obejmuje utwory pisane w okresie studiów z Z. Noskowskim i bezpośrednio po ich ukończeniu. Z tych, młodych, utworów Szymanowskiego rozpowszechniły się i utrwalają mocniej i szerzej wariacje fortepianowe *b-mol* oraz na temat ludowy, a etiuda *b-mol* stała się dziełem wyjątkowo lubianem i popularnem. Z tej samej epoki pochodzą: szereg pieśni, sonata skrzypcowa oraz pierwsza z trzech sonat fortepianowych, a także pierwsza symfonia *g-mol*. Twórczość Szymanowskiego cechuje w tych latach czystość stylu, pokrewnego nieco Chopinowi i szlachetniejszym reprezentantom romantyzmu—np. Schumanowi (wariacje *b-mol*).

Gdy zawsze młody jeszcze Szymanowski zapoznał się z dziełami Ryszarda Straussa i Maxa Regera, dokoła których skupiał się ruch muzyczny całej Europy ówczesnej, otworzyły się przed jego oczyma nowe horyzonty. Podobnie jak Karłowicz ulega czasowi pędu i rozmachu straussowskiego „Don Juana” i pisze swą „Uwerturę koncertową“, którą należy uważać za pierwszy krok na drodze wejścia w świat symfoniki w wielkim stylu. Ówczesny olbrzymi ruch muzyczny w Niemczech wraz z nasileniem twórczości, z masą wspaniałych orkiestr symfonicznych, z teatrami operowemi, zaopatrzonemi we wszelkie możliwe środki realizowania marzeń kompozytorskich—wywiera wpływ na psychikę twórczą Szymanowskiego. Pisze on szereg dzieł o fakturze imponującej techniką skomplikowaną w sensie polifonicznym i harmonicznym. Zjawia się u niego po raz pierwszy pierwiastek „atonalny”, dopiero na parę lat przed tem ukazany światu przez Schoenberga.

Te lata pracy w atmosferze sztuki niemieckiej nazwie później Szymanowski „zmorą, która go dusiła”. Za to impresjoniści francuscy—Debussy, Ravel, staną mu przed oczy-

ma jako zjawiska świetlane. Wtedy powie o nich:—było to otwarcie okna w dusznym pokoju i wpuszczenie świeżego powietrza.

Oczywiście środki wyrazu, któremi zaczyna Szymanowski operować, ulegają zmianie. Gęsta, acz o znacznej sile ekspresyjnej, faktura takiej symfonii *b-dur* (II-ej) lub opery „Hagith", przejaśnia się znacznie w pierwszym koncercie skrzypcowym i w trzeciej symfonii. Pojawia się przejrzystość, lekkość, gra barw, wśród których wiele jest jasnych, może radosnych.

Ale nie tutaj kres drogi Szymanowskiego. Daje on nam „Króla Rogera", drugie swe dzieło sceniczne. Zrywa w niem z zasadą motywów przewodnich, szuka natomiast sposobu plastycznego wyrażenia i zamknięcia w koncepcjach muzycznych wszystkich momentów akcji scenicznej. Osiąga też niezwykle silny wyraz w scenie kościelnej, a także w finale opery. Ten potężny wyraz, który wyrosł z elementów, stojących o wiele wyżej niż wszystkie „problematy muzyczne", interesujące Szymanowskiego w drugiej części jego działalności twórczej, cechuje mistrza, umiejącego wznieść się ponad impresjonizm—często przecież jałowy. I już nie ów właśnie impresjonizm, lecz siła ekspresji zajmuje Szymanowskiego w „Stabat Mater"; elementarna potęga muzyki ludowej zaczyna przemawiać do jego duszy coraz mocniej. Na tem tle powstaje szereg dzieł, z których do wielkich form należą „Harnasie", do małych zaś stylizacje pieśni kurpiowskich i in.

Czwarta symfonia — z fortepianem obligato — i drugi koncert skrzypcowy są ostatniemi większemi utworami jakie stworzył Szymanowski".

*

Bardzo interesujące szczegóły o pracy Szymanowskiego w Tatrach podaje w „Kurierze Poznańskim" (nr. 147) dr. J. Młodziejowski. Zanim doszło do baletu „Harnasie", dziś już sławnego na szerokim świecie, Szymanowski napisał serię „mazurków" podhalańskich. Skądże mazurki na Podhalu? P. Młodziejowski odpowiada.

„Znawcy podhalańskiej muzyki twierdzą, że górale nie mają w swym repertuarze instrumentalnych tańców o nieparzystym, trójdzielnym rytmie. Aby to ze sobą pogodzić, trzeba było geniuszu Szymanowskiego. Zachwycony prymitywizmem Podhala, wchłonął on w siebie dziwaczną jego melodykę z jej wszelakiemi „barbarzyństwami" — ucząc się tej podtatrzańskiej muzyki od najbardziej kompetentnego mistrza: od starego Bartka Obrochty. Ten słynny skrzypek podhalański zrozumiał, że Szymanowski potrafi „uzdajać" muzykę z jego przygrywań i zdartym głosem nuconych piosenek o reglach, zbójnikach, o redyku owiec i o staroświeckich czasach.

Mazurki fortepianowe w mig rozeszły się pomiędzy pianistami. Zamknął w tych tańcach Szymanowski bogactwo różnorakich rytmów, nastrojów, szerokich oddechów, a nie popadł ani w szopenizm, ani w harmonizowanie znanych fragmentów melodyjnych z Podhala. Trudno byłoby doszukać się w „Mazurkach" czegoś konkretnego czy to z Sabałowych, czy Wierchowych Nut. A jednak idzie przez te dwadzieścia kilka poematów utajony wiew od gór. Pięć zeszytów wyszło w wiedeńskiej firmie „Universal"; stanowią zbiorowy opus 50".

*

Szymanowski był od r. 1930 doktorem honorowym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na uroczystości wręczenia dyplomu znakomity muzyk przemawiał w te słowa:

„Oby w przyszłości, gdy Duch Polski w atmosferze bezwzględnej, z krwawym trudem odzyskanej wolności zabrzmi na świat cały mocnym, najbardziej harmonijnym akordem swoistej narodowej kultury, oby wówczas nam, muzykom polskim, dane było stwierdzić z dumą i radością, iż w owym idealnym zespole narodowej mocy nie brakło i naszych wysiłków, prac i spełnionych wreszcie marzeń!"

O muzyce mówił:

„Muzyka — nie jako bijące odtąd na zawsze już źródło najczystszej i najbardziej przejmującej radości, lecz jako wielka wychowawczyni człowieka — spełnia swą dobroczynną rolę. Otworzyła mu oczy na zaczarowany, jedynie twórczy świat ponadosobistej idei, związanej nierozerwalnie z wszelkim przejawem piękna. Odtąd odszuka je on wszędzie, a więc i w najgłębiej pojętej myśli patriotycznej, ...w której się tai najwyższy duchowy wyraz i moc świadcząca o właściwej kulturze Narodu..."

Nie naszą rzeczą nad świeżą mogiłą mierzyć talent przez zestawianie go z wielkimi twórcami. Wystarczy dla złożenia mu hołdu stwierdzić, że był artystą rasowym, który sztuce życie poświęcił, że tworzył, jak widzimy, ze świadomością roli, jaką wypadło mu odegrać w systemie wielkiej twórczości, którą znaczy swoje dzieje geniusz narodu polskiego.

Z. W.

Ś. P. WŁADYSŁAW MICHEJDA

Z CIESZYNA nadeszła wiadomość o nagłym zgonie ś. p. Władysława Michejdy.

Postać dobrze znana i chlubnie zapisana w pamięci nietylko rodzinnego Śląska Cieszyńskiego. Urodził się w r. 1876 w Nawsiu pod Jabłonkowem. Był synem nieodżałowanej pamięci Franciszka Michejdy, długoletniego pastora w Nawsiu, słynnego działacza na polu narodowem, walczącego o polskość Śląska. Gminy te, dzięki jego pracy tak szczerze polskie, odeszły po wojnie do Czechosłowacji wraz z częścią miasta Cieszyna. Syn Władysław popularności ojca zawdzięczał zaufanie z jakiem ludność polskiego Cieszyna powołała go — po śmierci ks. Londzina na stanowisko burmistrza.

W Cieszynie ś. p. Władysław Michejda osiadł dopiero po wojnie. Po ukończeniu uniwersytetu mieszkał we Lwowie i tam był adwokatem. Wybitnym był prawnikiem i gorliwym działaczem politycznym w kadrach stronnictwa Demokratyczno-Narodowego. W r. 1915 jako zakładnik wyjechał do Rosji, wojnę przebył w Kijowie, gdzie bardzo gorliwie pracował w organizacjach obywatelskich, niosących pomoc wielkim rzeszom polskich emigrantów.

Powróciwszy na Śląsk, wszedł w r. 1920 do rady gminnej m. Cieszyna, a jednocześnie rozwinął rozległą działalność jako adwokat. W r. 1929, powołany na stanowisko burmistrza, pozostawał na niem do końca życia.

W ostatnich latach odegrał rolę polityczną, jako dobry znawca stosunków polsko-czeskich, występując w mowach i broszurach z bardzo ostremi oskarżeniami polityki rządu czechosłowackiego.

Pozostawił po sobie pamięć dobrego patrjoty i prawego, o dobrem sercu człowieka.

TAJEMNICZE MOGIŁY

Chicago [1]), 8 marca 1937 r.

JEST nas w Chicago przeszło pół miliona, ale ilu wie, że na jednym z cmentarzy tutejszych, zdala od Polonii, w odosobnionem miejscu, spoczywają prochy dwojga członków jednych z największych rodów polskich—księżniczki Izabeli Czartoryskiej, zmarłej tu 8 marca 1881 r. i Augusta Wilhelma Działyńskiego, wielkiego chorążego Litwy, który zmarł 31 lipca 1895 r.

Na pomniku, pod którym spoczywa Czartoryska, jest napis brzmiący:

Isabel Djalińska, comtesse de Szodeiken, Nee princesse Czartoriska, deceede mars 8, 1881.

---

[1]) Autor tego listu, obywatel chicagowski p. Leon T. Walkowicz, jest prezesem istniejącego w Chicago Polsko-Amerykańskiego Tow. Historycznego.

A na grobie kryjącym prochy hr. Działyńskiego jest napis pod herbową koroną:

Djaliński of Shodeiken, Great Bannerbearer of Lithuania „Kenkelis" died july 3i, 1895. Age 72 yrs.

Wertowanie aktów o księżnej Czartoryskiej wykazało tylko tyle, że miała ona 55 lat w chwili zgonu, a zamieszkiwała ze swym mężem na starej o zniesionej już nazwie ulicy pnr. 2501 Butterfield. Całe imię rodowe jej brzmi: Izabela Regina Jagiełłówna, księżniczka Czartoryska. Zapisane też jest, że urodziła się w Prusach, ale miejsce urodzenia nie jest podane. Przyczyną jej śmierci była wada serca, a ciekawą rzeczą w tych zapiskach jest, że chociaż zmarła 8 marca 1881 roku, to jednak pochowana została na tym cmentarzu dopiero 1 maja. W końcu rekordy wskazują, że najbliższym krewnym zmarłej był niejaki August Kenkel i na tem się kończy wspomnienie o zmarłej. Żadnych też wzmianek nie było wtedy w pismach tutejszych i tajemnicą zostaje życie Czartoryskiej.

*

Więcej informacji zebrać mogłem o hr. Działyńskim. Mieszkał nie pod swojem nazwiskiem lecz jako August Wilhelm Kenkel, „hrabia polski, na którego głowę naznaczona była nagroda w sumie 50 tysięcy rubli".

Niewesołe było życie Działyńskiego-Kenkela, bo jak podają ówczesne pisma amerykańskie, miał maleńki skład materiałów malarskich i sam też tworzył obrazy. Z sąsiadów nikt nic nie wiedział o nim, bo nie udzielał się w żadnem towarzystwie, prowadząc zupełnie odosobnione życie i idąc przez nie tylko wspomnieniami o przeszłych czasach w ojczyźnie. Jednym ciosem dla niego był upadek powstania styczniowego, w którem brał czynny udział jako wywiadowca na rzecz powstańców, drugim zaś śmierć jego żony księżnej Czartoryskiej, która dzieliła z nim losy wygnania.

Zapiski wskazują, że hr. Działyński był i w innych miejscowościach Stanów Zjednoczonych, lecz z tych wymieniony jest tylko New Plymouth w dalekim Idaho. Tam jednak prawdopodobnie zamieszkiwał pod innem jeszcze nazwiskiem, a nie jako Kenkel, bo ówczesna poczta zwracała wszelkie listy, które na to nazwisko były posyłane do New Plymouth. W czasie prowadzenia zakładu swojego i sklepu w tej okolicy przez pięć lat Działyński-Kenkel powtórnie się ożenił, lecz małżeństwo nie było szczęśliwe. W rok przed jego śmiercią żona opuściła go z dziesięcioletnim synkiem i żyła w separacji.

Częste kłótnie z nią zatruły mu ostatnie chwile życia, w których jedynemi radośniejszemi przebłyskami była jakaś Ludwika, prawdopodobnie córka z pierwszego małżeństwa, z księżniczką Czartoryską. O Ludwice jednak nic znaleźć nie mogłem, prócz suchej wzmianki, że gdy zmarł, „najbliższą krewną była Ludwika". On sam nigdy o niej nie wspominał, podobnie jak nigdy nie mówił do nikogo o swych przejściach na ziemi rodzinnej i o swym udziale w powstaniu.

*

Szperając w starych zapiskach, zdołałem znaleźć przynajmniej część wiadomości o pochodzeniu „Kenkela". Jest w nich, że właściwem nazwiskiem jego było: Algernon Wilhelm Działyński (Djalinski) „hrabia polski urodzony w Kłajpedzie (Memel)", obecnej Litwie, a wtedy części Prus Wschodnich. Urodził się w 1823 roku, lecz bliższych wiadomości o życiu jego aż do czasu powstania niema. Że był on jednym z najważniejszych w tem powstaniu, wskazuje to, iż Rosja wyznaczyła aż 50 tys. rubli nagrody za ujęcie go żywego lub umarłego. Tak podają wiadomości, które zdołałem odnaleźć.

Dalej zapiski te podają, że działalność jego podczas powstania była pełna przygód, a że był niezwykłą osobistością, powierzone mu zostało dokonywanie wywiadów na tyłach armii moskiewskiej i przesyłanie wiadomości powstańcom. W czasie tym stoczyć musiał w Rosji pojedynek, podczas którego kula urwała mu palec u ręki. Przez pewien czas też musiał się leczyć, ale nie był bezczynnym, lecz dalej pracował na rzecz Ojczyzny. Ranny kilkakrotnie, przedostał się wreszcie znowu na polską stronę, ale powstanie chyliło się ku upadkowi, a gdy rozbite zostały ostatnie oddziały walczące o wolność Polski, Działyński wyjechał z kraju pod przybranemi nazwiskami tułał się w różnych miejscach, aż wreszcie przybył do Stanów Zjedn. i zdołał sprowadzić swą żonę tutaj.

Ponieważ nie chciał Działyński, aby rodzina jego i rodzina żony cierpiała za udział jego w powstaniu, przybrał sobie tutaj nazwisko: Kenkel, dalekiego krewnego swojego w Polsce.

Mówią też zapiski, że Kenkelowie byli zamożnymi ludźmi, lecz życie Działyńskiego w Chicago wskazuje, iż nie miał pomocy od nikogo. Borykać się też musiał z losem i ciężko pracować na utrzymanie. Zgryzoty, tęsknota za Ojczyzną, niedostatek i odosobnienie ciężkiemi były dla obojga gorących patriotów. To też najwięcej się przyczyniły do śmierci jego żony.

Pośmiertne wspomnienia o Działyńskim-Kenkelu podają, że był on nietylko żołnierzem, ale i artystą. W pracowni jego ponad składem malarskim znaleziono mnóstwo pięknych obrazów przez niego malowanych, a ci którzy znali go, wspominali, że obrazy Działyńskiego znajdują się w wielu europejskich galeriach sztuk pięknych.

Chociaż zamieszkiwał Działyński wśród ludzi obcych i żył swojem własnem życiem, wzbudzał dzięki swemu wysokiemu wykształceniu szacunek u wszystkich, którzy mieli z nim cokolwiek do czynienia. Wysoka jego postać, postawa wojskowa, patriarchalna, siwiutka broda znana była w okolicy jego zamieszkania. Nietylko go sąsiedzi szanowali, ale i kochali, a szczególnie przepadały za nim dzieci, którym często dawał podarunki, przeważnie szkice i malatury tych malców.

Życie prowadził proste i prawie ascetyczne, oddając się jedynie ukochanemu malarstwu i wspomnieniom o Polsce. Marzył też zawsze o wolności Jej, lecz w ostatnich chwilach swego życia stracił nadzieję, aby kiedykolwiek mógł wrócić do Ojczyzny i stracił nadzieję w Jej wolność. Jak smutne było jego życie, wskazuje notatka, którą znaleziono po jego śmierci. Pisał ją dla swego syna, a brzmiała ona: „Cierpię ogromnie. Cierpię bezustannie". Napisał ją w piątek, 26 lipca 1895 r., nie mówiąc w niej nic o samobójstwie, a w niedzielę wyzionął ducha.

*

Jak tajemnicze było życie Działyńskiego, tak i tajemnica okrywa jego śmierć, która nastąpiła w szpitalu, dokąd policja przewiozła go ze śmiertelną raną w głowie. W niedzielę, 28 lipca, zamieszkali w sąsiedztwie składu Działyńskiego donieśli policji, że około pierwszej w nocy słyszano dwa strzały w jego mieszkaniu. Kiedy policja przybyła na miejsce, zastała drzwi zamknięte, a na pukanie nikt nie odpowiadał.

Wyłamano wreszcie drzwi i w pracowni malarskiej znaleziono Działyńskiego w kałuży krwi z raną w głowie. Żył on jeszcze, a więc zabrano go do szpitala i tam spisany został protokuł. W tymże policja zaznaczyła, że jest to wypadek samobójstwa, opierając się na tem, że koło Działyńskiego znaleziono rewolwer, a prócz niego samego nikogo w mieszkaniu nie było. Sucha też jest ta notatka o śmierci polskiego, nieznanego przez Polonię tutejszą patrioty-powstańca, z którą jednak nie zgadzają się ówczesne raporty lekarzy szpitala, gdzie starano się uratować życie Działyńskiego.

Wertując te raporty, znalazłem wzmianki, że lekarze szpitala nie zgadzali się z opinią policji o samobójstwie. Chociaż nie było w ówczesnych czasach tych sposobów badania jak obecnie, jednak lekarze oświadczyli, iż Działyński nie mógł popełnić samobójstwa.

Jak to było?—któż teraz dojdzie. Może w kraju znajdą się o tem jakie dane.

LEON T. WALKOWICZ

POKŁOSIE

„NIEPRZEWIDZIANE“

W JEDNYM z pamiętników francuskich z ostatnich lat autor podaje swoją rozmowę z sędziwym Clemenceau i opowiada jak z niezbitą logiką wykazywał, iż pewien kierunek polityki jest jedynie wskazany. Stary mąż stanu nie wydawał się jednak przekonany, a gdy autor zapytał, czy widzi w jego rozumowaniach jaki błąd, Clemenceau odrzekł, iż jest rzeczywiście błąd i to niebylejaki, mianowicie nie uwzględnia wpływu rzeczy „nieprzewidzianych”.

Tę wielką wagę, jaką nadawał „nieprzewidzianemu” doświadczony polityk francuski, warto sobie przypomnieć obecnie, gdyż właśnie teraz występuje kilka takich nieprzewidzianych okoliczności, które mogą zmienić zasadniczo bieg spraw.

Przewidywano np., że zbrojenia niemieckie będą wstrzymane w swym rozpędzie przez brak pieniędzy. Te przewidywania jakoś się nie mogły doczekać sprawdzenia, mimo iż już nieraz ogłaszano bankructwo Niemiec. Ale oto na arenie wyścigu zbrojeń ukazuje się Anglia i to odrazu w skali nieprawdopodobnie wielkiej. Zmienia to sytuację w sposób zupełnie nieoczekiwany: już w pierwszych miesiącach występuje brak żelaza, a raczej, co jeszcze ważniejsze, brak rudy żelaznej. Anglii nie wystarczają własne rudy, zakontraktowała więc całą produkcję głównego dostawcy wysokowartościowych rud, Szwecji, a nawet zadała podobno wielkie zamówienie na rudę Sowietom. Niemcy, które przetapiały głównie rudę szwedzką, stoją wobec braku tego surowca i tempo ich zbrojeń niewątpliwie będzie bardzo poważnie zahamowane. Groźba ich nagłej agresji, stanowiąca główny powód niepokoju i niepewności stosunków w Europie i świecie całym, jest jakby odsunięta i kto wie na jak długo, bo w dzisiejszych czasach nieustannego postępu technicznego strata tempa może przekreślić niejeden z dotychczasowych wysiłków i nakazać rozpoczynanie od nowa.

Wielkie bogactwo rud żelaznych leży tuż nad zachodnią granicą niemiecką w Lotaryngii, w zagłębiu Briey itp. Rudy te, przynajmniej w dążeniach zachodniego przemysłu metalurgicznego Niemiec, który tak wielki wywierał wpływ na politykę państwa, były głównym celem wojny z Francją. Czy więc nie można przypuszczać, że położenie w jakim obecnie znalazły się Niemcy wobec braku tak zasadniczego surowca, nie zwróci ich pożądliwego wzroku znów w kierunku zachodnim i, mimo rozmaitych odmian Locarna, nie podeprze silnie tej polityki, która przed wojną już stawiała sprawy zachodnie wyżej od *Drang nach Osten?*

Łączy się z tym szereg „nieprzewidzianych” zjawisk na wschodzie. Przekonanie o stałości reżimu sowieckiego zostało nagle poważnie zachwiane i to nie tylko przez znany szereg procesów, które ujawniły istnienie w Sowietach poważnej, zakonspirowanej opozycji, lecz również i przez nieoczekiwane tendencje nacjonalistyczne, ukazujące się w młodym pokoleniu, wymustrowanym, zdawałoby się beznadziejnie, przez nieustannie lejące się do głów rosyjskich potoki propagandy i niesłabnącą tresurę myśli. Sowiety tracą stanowczo swój dotychczasowy charakter straszaka rewolucyjnego i stają się możliwym do przyjęcia sojusznikiem. Może zawcześnie jeszcze wnioskować, że pogodzenie się z Ludendorffem oznacza powrót zasadniczego bismarkowskiego kanonu polityki niemieckiej na wschedzie, ale pewno do tego idzie.

Można być zdania, że właściwie rzeczy, których niesposób przewidzieć, jest mało. Zjawienie się jakiejś osobistości niezwykłej, jakich to parę wypadków mieliśmy po wojnie, wystąpienie jakiego potężnego zjawiska przyrody — to są chyba wszystkie wypadki naprawdę „nieprzewidziane”. Wszystko inne można rzekomo przewidzieć. Można, pewno, ale nie łatwo! I w dodatku łatwiej chyba przewidzieć rozwój wypadków w jakimś dłuższym okresie czasu, niż na najbliższe dni. Tam bowiem mamy drogowskaz w historii, która ukazuje rzeczy i tradycje niezmienne, lub przynajmniej trudno się zmieniające, na bliższy zaś dystans decydujące mogą się okazać okoliczności zupełnie przypadkowe. Osąd, oparty na historii, musi jednak być korygowany obserwacją życia i zmian społecznych.

Trudna to sztuka, ta polityka, polegająca na trafnym przewidywaniu, a widzimy nieraz nietylko po kawiarniach, ale i u steru państw polityków, niezdających sobie sprawy nawet z trudności przed nimi stojących. Jakże żałosny widok przedstawia powojenna historia polityczna!

ARGUS

NA MARGINESIE

— Jakże pan odczuwa dzisiejszą atmosferę?

— A cóż! Dużo ozonu, dużo azotu, wyrabiamy górskie powietrze...

— Tak, tak, ale powiedz pan, dlaczego tak duszno!

*

Ten, zdaje się, źle zrozumiał.

— Dłużej tego tolerować nie można — tłumaczył pewien polityk: Właśnie wtedy, gdy nakazano zjednoczenie narodowe, domagają się osobnych ławek dla żydów. A przecież to także naród.

*

Polscy filosemici, tragizujący z powodu barbarzyństwa młodzieży polskiej, nie wyobrażają sobie, jak gorzko żydzi z nich się śmieją. Bo przecież to najdrobniejsza przykrość, jaka ich spotyka w porównaniu z naporem prądu eksmisyjnego, który ich usuwa ze świata cywilizowanego.

Gdybyż tylko o towarzyską przykrość chodziło!

Błędy druku:

W nr. 14 w art. K. Konińskiego „Rumieńce wolności“ str. 216 szp. 2 w. 20 zamiast „przekształceniu“ powinno być „przeznaczeniu“.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM